



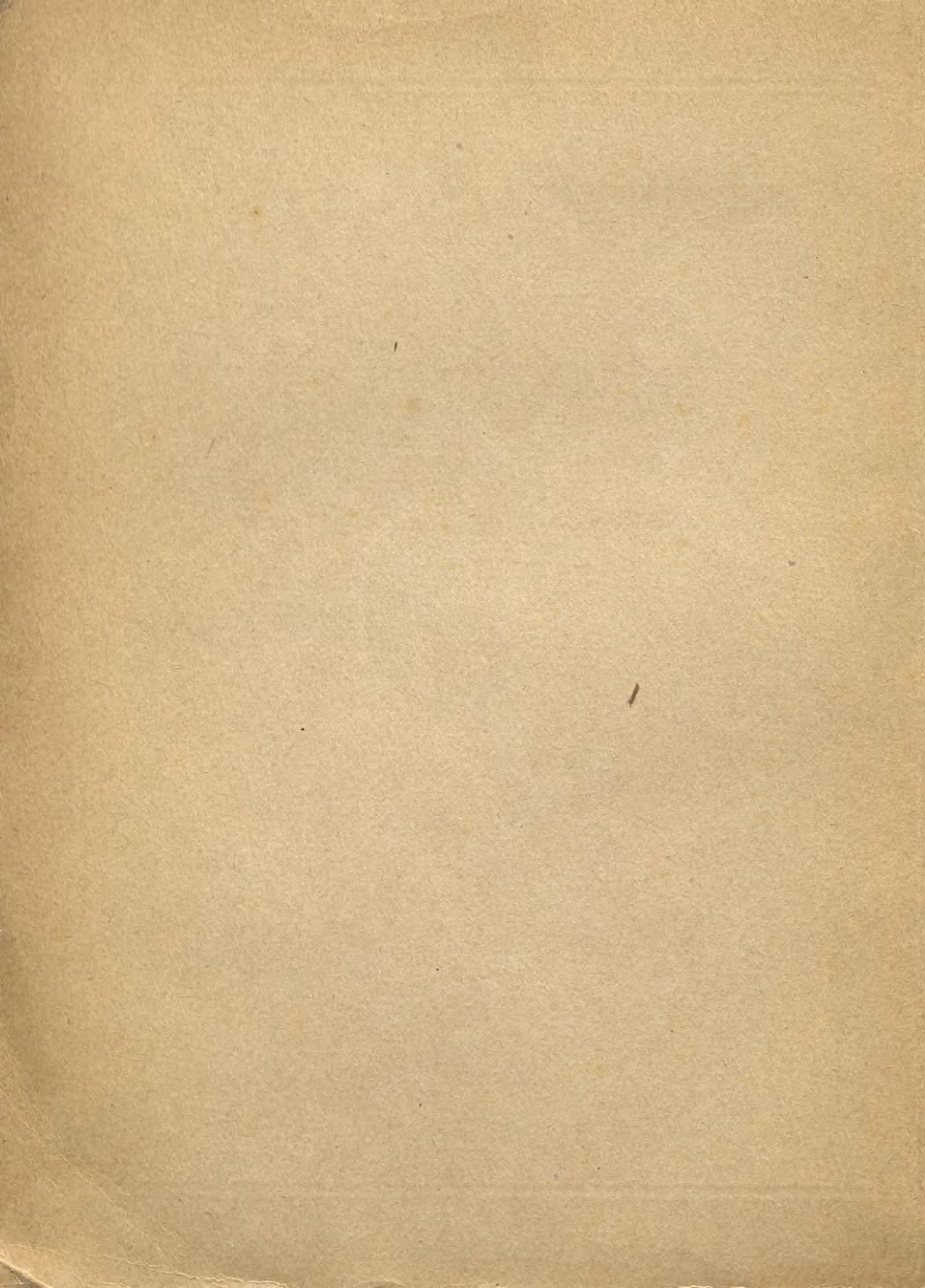
ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

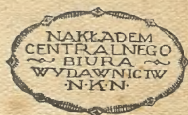
Nr 1710

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

POWRÓT

NAKŁADEM CENTRAL-
NEGO BIURA WY-
DAWNICTW
N. K. N.
W KRAKOWIE
1916

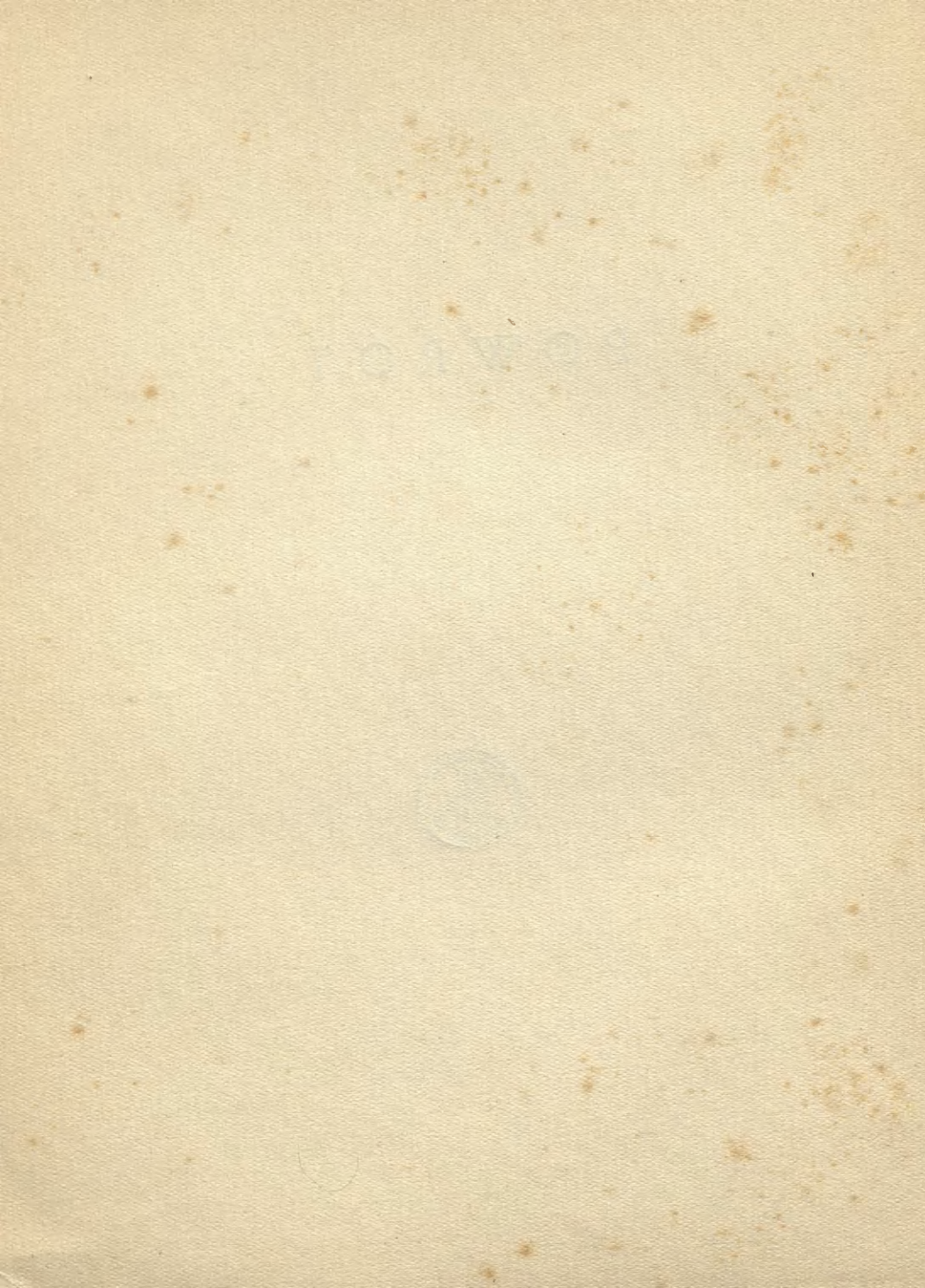






POWRÓT





1710

Reg. 1407

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

P O W R Ó T



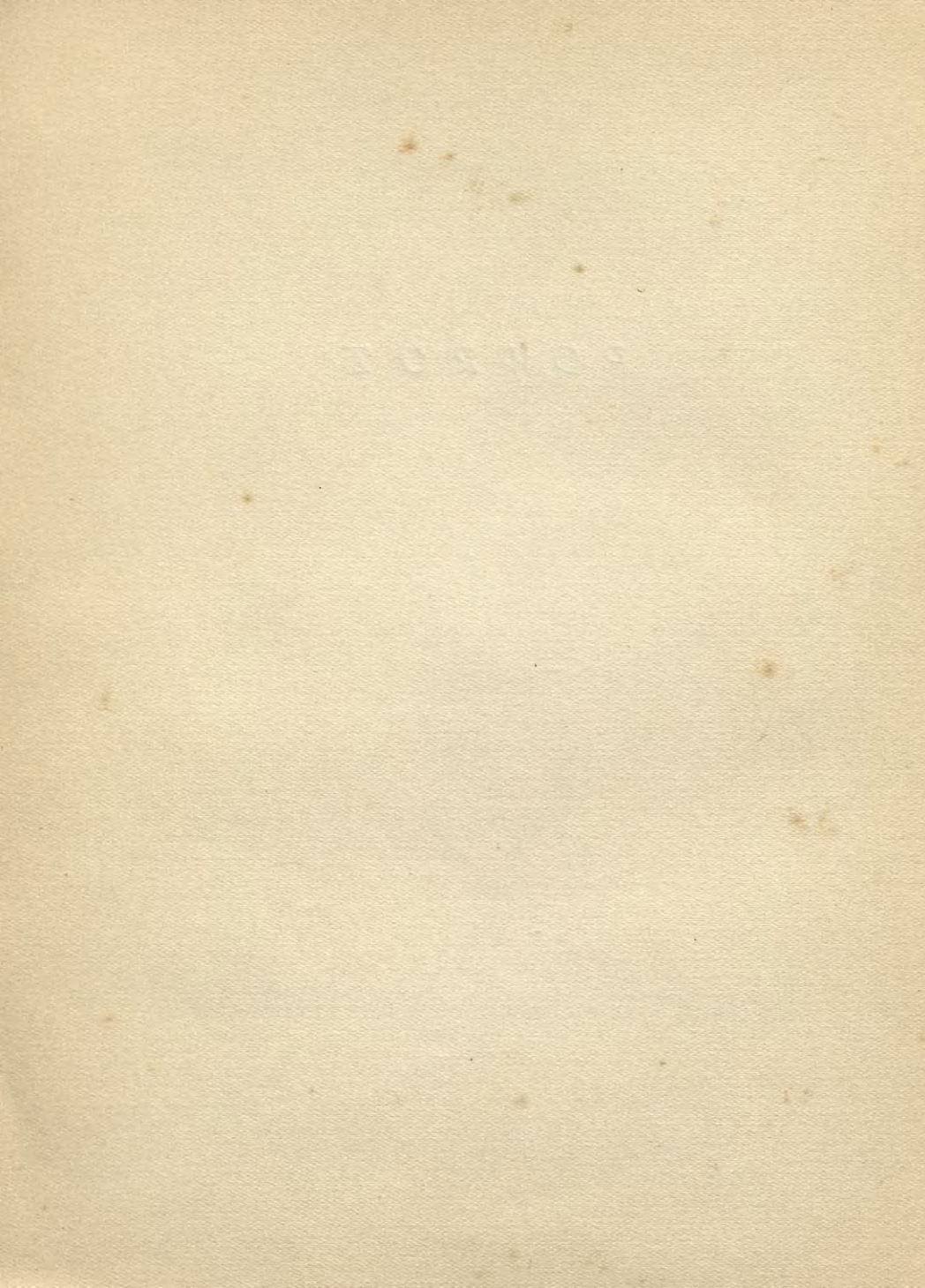
K R A K Ó W - 1 9 1 6

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA WYDAWNICTW
N. K. N.

W. Arch. 181/36

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

P O W R Ó T



*Ukochanej mej żonie, Jadwidze,
w najgłębszej miłości
poświęcam.*

Mroczyło w pokoju.

Janta chodził bezustannie wzdłuż niego, tam i z powrotem, czasem odsłaniał kotarę od przyległego pokoju, ale i tam miał za mało miejsca, błądził po korytarzach, znowu powracał, otwierał bezmyślnie szafę z książkami i znowu ją zamykał: obrzydły mu książki, dosyć się już ich naczytał — zresztą nie miał czasu na czytanie, bo teraz całkiem o czem innem musiał myśleć.

Gdyby jeszcze miał Polę przy sobie, możeby było mu się łatwiej uspokoić, ale Pola — spojrzał na zegarek — chciał jej ciężki wyrzut zrobić, że tak długo go samego pozostawiła, ale musiał być sprawiedliwym: godzina jeszcze nie minęła, jak wyszła.

Zaledwie godzina, a to przykre sam na sam, wiecznością mu się wydawało.

Przystanął przy oknie:

Deszcz padał — już drugi dzień deszcz padał.

Na wyciągniętych deszczu strunach lkała i zawodziła ciężka jego tęsknota za krajem, za własną jego ziemią, którą już chyba bezpowrotnie był utracił.

Przytulił czoło do szyb okna i patrzył.

Umyślnie wynajął sobie mieszkanie z dalekim widokiem na ogrody, w których teraz kwitły najróżnorodniejsze kwiaty w długich rzędach lub na ogromnych klombach — przy ziemi na zagonach przykucnęło różnorakie warzywo, a z boku ciągnęła się szkółka młodych, szlachetnych drzewek — umyślnie tu zamieszkał, by choć kilkaset metrów otwartej przestrzeni

przypominały mu dawniejszy jego rozległy park, pola jego i łąki i przestronny ogród z drugiej strony jego dworu: wciąż jeszcze „jego“, choć już dawno przez obcych był zamieszkały — ale tu właśnie rozogniły się rany w jego duszy, a tęsknota za jego ziemią tak nadmiernie wybujała, że nijako żadnej rady sobie znaleźć nie mógł.

A oczy jego wybiegały wzdłuż długiego kanału, obsadzonego z obu stron odwiecznymi lipami i gdyby nie woda, byłby to najwidoczniejszy obraz dojazdu od głównej drogi w bok do jego dworu — a tam dalej, gdzie widniał wśród pokracznie pogiętych i pokurczonych drzew owocowych czerwony dach podmiejskiej oberży, tam stała przecież w jego wsi przydrożna karczma.

Nie! tu już dłużej pozostać nie mógł! Tu mu tęsknota zbyt silnie dogryzała, parzyła mu mózg maniackim nawrotem ku własnej jego ziemi, skręcała jego serce dniem i nocą wiercącym wyrzutem, a przed duszą jego wyczarowywała jego własną ziemię, rozścielała mamiące obrazy tego, co bezpowrotnie utracił, do czego już wrócić nie mógł.

Chyba żaden syn marnotrawny nie ugiął się pod ciężarem tak miazdzących wyrzutów, żaden nie rwał się tak żrącą tęsknotą do domu ojca swego, jak on do tej ziemi, którą bezmyślnie stracił!

Och! Gdyby tylko Pola rychło wróciła!

Łzy deszczu żłobiły na szybach jednostajne rowki i ściekały powoli w dół, a i dusza jego się rozpląkała tą mroczną, szlochającą godziną, a nad aleją lipową głębiej i głębiej staczało się niebo szaremi kłębami deszczowych chmur.

Rozpędzał drapieżne ptactwo myśli i wspomnień na wszystkie strony, ale na nic: bezustannie wracało z większem i śmielszem jeszcze natręctwem, a w którąkolwiek stronę się zwracał, by się ukryć, natrafiał na nieprzebyte trudności, przeszkody, druty kolczaste, głębokie wyboje i rowy i wilcze doły,

w które ustawicznie wpadał i zaledwie w najcięższym znoju i trudzie wciąż na nowo z nich się wydobywał.

Starał się iść śladem wspomnień dzieciństwa, dla innych świetlana droga, ale właśnie na tej drodze czekały go najprzykrzejsze zasadzki.

Pomnął te swoje lata dziecinne w starym dworze, w którym niepodzielne rządy sprawował surowy patryarcha, despotyczny starzec — ojciec jego. Bał się go, z lęklivem drżeniem całował jego rękę co rana i co wieczór i bała się go żona, matka jego, którą pamiętał bezustannie zapłakaną, wystraszoną, lękliwą, wysilającą się, by łagodzić burzę, jaka ustawicznie w duszy starca wrzała.

A starzec tłumił swoją surową powagą wszelki wybuch wesołości, karał bez opamiętania najgłupsze wybryki dziecięcej swawoli i pustoty, uciekał przed ojcem i krył się po kątach, a w ziemię pragnąłby się zakopać, gdy przyszły na niego godziny, dnie całe gniewnego, chorego rozstroju.

Janta zatrząsał się na wspomnienie tych nieszczęsnych lat swego dzieciństwa: z zazdrością przypatrywał się z za parkanu, okalającego park, swobodnym, rozbrykanym zabawom dzieci wiejskich, rwał się z dławiacem pragnieniem, by się do ich zabaw wmieszać i razem z tem chamskiem pokoleniem harcować po drogach i polach, popędzić razem na łąkę i perz palić, albo w suchych łąkach piec kartofle, zbierać z niem razem kłosa na żłątym polu, wiercić tunele w mendlach snopów żytnich, uwieszać się przy drabiastych wozach, na których żniwo do stodół zwożono, piąć się na wysokie stogi zboża — pogonić do lasu, zaglądać do gniazd ptasich, albo skradać się za wiewiórką, przypatrywać się pracy dziecięci, albo też zaszyć się w gęstym sitowiu poza jeziorem i na wędkę ryby łowić, ale jemu nie było nic wolno, a wszelkie zakusy swobody i wolności przeplacał tak surową karą, że wszystkiego poniechał; włóczył się samotny, zły i rozdrażniony po parku, a tak wy-

lękniomy, że nawet pod nieobecność ojca trwożliwie się rozglądał, czy go nagle gdzie nie ujrzy, czy go znowu najniespodziewaniej w świecie na swej drodze nie spotka, czy nie otrzyma napomnienia, nie posłyszypowieści o niepotrzebnym trutniu i nie zostanie zapędzony do książek, których nienawidził, do tych wszystkich zajęć, które mu ponoć mózg kształcić miały, a do których niewypowiedziany wstręt uczuwał.

Pomnął starego guwernera, który widocznie był w zмовie z jego ojcem, bo go na chwilę z oka nie spuszczał, śledził go, gderał bezustannie, strofował, prawil od rana do nocy moralne nauki i wciąż jeszcze nauki, bezdusznym, mechanicznym sposobem wkuwał w mózg jego początki łaciny: chłopiec, który od ukochanej matki w mig nauczył się języka francuskiego, okazał się nagle tępym i niepojętnym nieukiem.

I tak rósł w tej starczej, zgryźliwej, życia i młodości nienawidzącej atmosferze — stał się w sobie zamknięty, przebiegły, podejrzliwy, dojrzewał przedwcześnie, a w duszy jego ięły się rozrastać najsprzeczniejsze instynkta, które się wzajem ścierały, zaciekle z sobą walczyły, podstępnie się zmagaly, by po zdradzieckim rozejmie zacieklejszą jeszcze walkę wszcząć.

Nie! Nie! Nie chciał o tem myśleć, a jednakoż wciąż musiał do tych lat budzącej się wiosny — rozśmiał się gorzko — do tej swej wiosny życia wracać. Słońce dopiekało w marcu, a w maju szron warzył zieleni i kwiecie.

Wtedy — tak! wtedy wyhodowało się w nim bujnie chyłkiem skradające się tchórzostwo obok heroicznych porywów waryackiej odwagi, wrodzoną czystość zniechlujał brudny cynizm, egzaltowanym wybuchom uniesień i wniebowzięć towarzyszyło stale szyderstwo, kpina i drwiny, wiarę jego maciła płaska podejrzliwość, wzdargliwa nieufność, a powagi pełna skromność, nieśmiałość i wstydlivość myśli i uczuć deptał śmiesznym snobizmem, pyszałkowatą wyniosłością i kome-djaństwem pozy.

I zapanowało w jego duszy chore, złośliwe pragnienie, robić sobie i innym wszystko naprzekór, nicować wszystkie wartości, wywracać na ręby nawet to, co dla niego samego było aksjomatem, nie zaniechać niczego, coby go nie stawiało na krańcach przepaści.

Wszystko *à rebours!*

Igrał w szkołach z profesorami, którym wpajał upornie to przekonanie, że jest ostatnim nieukiem, a nagle ich olśniewał i zdumiewał niezwykłą wiedzą i zdolnościami, igrał z życiem, narażając się na największe niebezpieczeństwa wtedy właśnie, gdy je był mógł z łatwością ominąć, przyjaźnił się i bratał z współuczniami, którzy dla niego samego byli wstrętni i niechlujni—właśnie dlatego, że wszyscy od nich stronili i nimi gardzili, wyrzucał wprost na ulicę pieniądze i wszystko, co miał, właśnie wtedy, gdy wiedział, że go nazajutrz oczekują najprzykrzejsze sprawy z wierzycielami, zabawiał się w „wiecznego rewolucjonistę“, ale nie z instynktu, nie z musu, który czyni człowieka twórczym i nowe wartości wytwarza, ale z dziecinnej fanfaronady: „*pour épater le bourgeois!*“

Och! jakim niesmakiem go teraz to wszystko napełniało!

Patrzył na to swoje życie młodzieńcze, jak na coś całkiem mu obcego, na coś, co chyba całkiem inny człowiek w nim przeżywał, a nie on sam. Widział teraz dokładnie to bezustanne błąkanie się po rozstajnych ścieżkach, taczanie się po błędnych manowcach, wpoprzek, dookoła, na przełaj, patrzył na dziwaczne wpół-pijane, wpół-nieprzytomne gzygzaki tej drogi, które w jakimś lunatycznym transie odbywał i tego wszystkiego pojąć nie mógł — ale aż nadto wyraźnie stawała mu przed oczyma smutna, a groteskowo śmieszna rzeczywistość tych lat, które strawił w ciężkiej rozterce, w ustawicznym oszałamianiu się, w bezmyślnem ogłuszaniu tego wszystkiego, co było w nim najszlachetniejsze, a co napróżno ratunku wołało.

Ukazywała mu się wtedy w ciemnym, stęchłym labiryncie

jego pamięci jakaś wysoka, pyszna pani z papierosem w ustach, z kijem bilardowym w ręku, kuszącymi, wyblakłymi oczyma, mdłym, nęcącym uśmiechem a koło niej kilku czychających samców-wielbicieli, na razie pokornych, usługujących psów, którzy w głębokiem nabożeństwie wyczekiwali, rychło-li na którego z nich kolej nie przyjdzie.

A przecież tej pani, która nawet jego ojczyściego języka nie znała, pani, tak dla niego obcej, że na wszystko, co mówiła, co robiła, miał tylko wzgardliwe wzruszenie ramion, dał swoje nazwisko, przywiozł ją do siedziby swych ojców i praojców — na co? po co? Cóżby to było?!

Dla jakiegoś dziecinnego — nie! głupio-snobicznego *à rebours*, bo przecież doskonale znał całą jej przeszłość?

Myślał zimno i natężenie, jak gdyby jakąś zawiłą zagadkę chciał rozwiązać.

Czasami zdawało mu się, iż działał w jakimś mrocznym stanie, w którym człowiek całkiem nie jest odpowiedzialny za to, co czyni — czytał kiedyś o kimś, który po kilku tygodniach oprzytomniał aż gdzieś w Kalkucie i żadną miarą nie zdołał pojąć, jak się tam dostał — czasami myślał z głębokim wstydem, że może uległ dziecinnej, niedojrzałej sugestyi, która się każe biednym studentom rujnować doszczętnie dla jakiejś okrzyczanej i osławionej subretki, czasami posądzał się o prostą, samczą próżność, by w współzawodnictwie z tylu innymi ubiedz ich w tym wyścigu i — *coute que coute* — chociażby kosztem wstydu i wstrętu zwyciężyć... nad miarę przykrą była mu myśl, że chcąc chełpić się zwycięstwem, sam się wplątał w jej sieci i został zdobyty... a może — może nawet padł ofiarą złudzenia — może spodziewał się tam głębi, gdzie była tylko mielizna, może starał się przeczuwać moc miłości w duszy, która była doszczętnie spopielenona — nie! głupstwo! tak płytka dusza, spopielić się nie może — może starał się rozpacznie widzieć tam przepiękny kwiat, gdzie brudne, szaro-

popielate kwiecie blekotu za opłotkami życia wędło — ale, im skrupulatniej swoje sumienie roztrząsał, im skrzętniej rozgrzebywał śmietnisko swego życia, wszystko znajdował, ale ani odrobiny miłości.

To jedno tylko wiedział, że tej obcej pani nie kochał — mógł odczuwać niesmak, wstręt, obrzydzenie — ale niepotrzebował zgrzytać zębami, że miłość jego została zawiedziona, bo nie było w nim miłości, raczej cyniczne poczucie zawodu, że nie zdołał w zimnej i oschłej duszy kobiety miłości rozpaścić, jakby żadnym cudem nie zdołał tego dokonać w pierwszej lepszej, którąby na targowisku samczej chuci tańszym kosztem mógł sobie kupić.

Samcza próżność, że on jeden — zwycięzca w tym głupim pościgu z kilkoma samcami naraz — jeszcze ten ostatni rekord weźmie!

Napróżno eksperymentował, trzeba było machnąć ręką i teraz zdawał sobie jak najdokładniej sprawę, że w całym tem kilkoletniem współżyciu w jednej klatce z tą w śmiesznym wyścigu zdobytą zamorską panią, nie przeżył nic, coby nie było spełzło po naskórku jego duszy, gdyby kropla wody po gładkiej tafli marmurowej... nic, nic nie pozostało z tych kilku lat ciężkiego wstydu, że kobieta, którą już żoną nazywać musiał, była już z rąk do rąk przechodziła, a który to wstyd pokrywał szarmancką hypokryzyą, że o niczem nic nie wiedział, ani nie wie, a, aby rolę swoją do końca doprowadzić, i równocześnie nie zmarnieć, jak ów histryon, który wykrzykiwał; qualis artifex pereo! udawał, co go zresztą nic nie kosztowało, niezłomną wiarę w wierność i stałość swej małżonki — a, aby pokryć tą ziejącą pustkę w sobie, sławił, dławiąc się od wewnętrznego, kpiącego śmiechu, z zapalem i szczerą emfazą jej niesłychaną piękność, jej nadzwyczajne talenta, niemiał dość najprzesadniejszych słów gorącego uwielbienia, najwyszukań-

szych porównań, w któreby jej nie był przystrajał, gdyby w pychę egzotycznych kwiatów.

Głębiej i sumiennie zapatrzył się w siebie:

Istotnie nic nie pozostało z tych kilku lat pożycia, pełnego ironicznego podstawiania nogi, przez którą arcymądry, o wszystkim wyrokujący mózg jego przez baranów-wielbi-
cieli podziwianej pani bezustannie najpocieszniejsze koziołki wywracał, dawno puścił w niepamięć lata, pełne niesmaku nad szyderczo-grzecznem, niesłuchającym słuchaniu płytkiego rozumowania, przeżuwania obcych myśli, wyławiania jego własnych słów i wykoszlawiania ich znaczenia...

Słońce już zaszło. W niebo poobciągane ciężkimi chmurami deszczowymi wcinały się tu i ówdzie cieniuteńkie kliny purpury gasnącego światła, a coraz gęstszy zmrok zalegał szeroka przestrzeń przeciwległego ogrodu.

Pola! zawołało w nim coś drżącą miłością i spragnionem oczekiwaniem: kiedy nadejdzie?

I w tej samej chwili przerzuciła się pamięć jego do onej błogosławionej chwili, w której z najgłębszą rozkoszą wyzwolenia ujrzał się sam, bo to „nieświadome dziecko“ — roześmiał się sucho — tę przemądrą panią, którą wskutek śmiesznego wyścigowego rekordu był zmuszon żoną nazywać, uniósł jakiś młody, a piękny sokół w swoje niedostępne grodzisko.

Uzyskał wolność — klatka była na oścież otwarta!

Och, jak wtedy głęboko odetchnął w rozkosznem wyzwoleniu, jak dusza mu się rozrastała poczuciem nowej, nieznanej dotąd mocy, jaką się w nim wszystko w nowem życiu odradzało!

Ta pustynna gleba, leżąca odłogiem i ugorem, porośła ostami i zielskiem, rozkwitnęła się niesłychanem bogactwem przebogatego kwiecica, a z jego krwi, z jego tęsknot, najkosztowniejszych snów i szlachetnego skarbcza jego duszy, który

dotąd w ukrytych jej głębinach spoczywał, wykwił nagle wspaniały a tajemniczy kwiat paprociany miłości — tak! teraz poznał moc i świętość miłości — do tej, którą teraz z dumą i szczęściem swą żoną nazywał:

Pola!

Z jaką rozkoszą pławił się w wspomnieniach onego miłościwego pierwszego roku, który na swej ziemi spędzili.

To jego święte zdumienie, gdy po raz pierwszy poznał miłość! Ta niewysłowiona radość i pokora, z jaką przyjął z rąk Poli jej bezgranicznie oddane, czyste, gorące serce! I wstyd, że wzamian za tą ofiarę niepokalanej czystości nie miał dość dostojnego daru, którymby się mógł wywdziękzyć! Coby tylko mógł zrobić, wydało mu się zbyt marnem i biednem, by módz swą wdzięczność wypowiedzieć...

Raz wreszcie poznał tą wielką łaskę, że kocha i jest kochanym.

Nie miał wrażenia przynależności, bo z Polą razem uczył się nierozdzielnej Jedni, zatracił poczucie jakiegoś odrębnego, indywidualnego bytu: tak doszczętnie zlały się ich dusze z sobą.

I mówić z sobą nie potrzebowali, bo w ich milczeniu nie było myśli, któreby się wzajem nie łączyły: mówili dotknięciem, spojrzeniem, a jednym ruchem wyrażali to, czegoby sobie w długiej rozmowie powiedzieć nie mogli.

Wszystkie brudy i męty jego życia zlały się w jakiś przepastny lej zapomnienia — blaskiem szczęścia ozłocił mu się świat cały.

Wszystko mu się w oczach jego przeinaczyło.

Ten park, z którym go wiązały najprzykrzejsze wspomnienia dzieciństwa, gdy się w nim krył przed srogim gniewem swego ojca, a potem nogą w nim nie powstał z cynicznej dyskrety, by przypadkowo nie zamącić czulego *tete-a-tete* tej tam — splunął — z jakimś wielbicielem, teraz dopiero ukazał mu się w całej swej piękności.

Drzewa mu nagle ożyły, zdawały się brać udział w ich szczęściu i miłości, coraz szerzej rozpinają swoje gałęzie, gdyby radośnie błogosławiące ramiona — krzewy zdały się wysilać na coraz to wspanialsze kwiecie, by oczy ich swem bogactwem uradować; głębszą i bogatszą zielenią rozrzuili się polanki, jakby ich do spoczynku zapraszały, a nigdy jeszcze nie zapowiadały pola jego bogatszego żniwa, jak onej błogosławionej wiosny, gdy wszystkie ciężkie przeszkody zdołał przełamać, przewyciężyć wszystkie trudności, których mnóstwo na jego świętej drodze do szczęścia się jeżyło i swoją Polę poślubił.

I teraz siebie odnalazł.

Przez Polę i w niej ukochał tę ziemię, którą znał dotychczas z obrachunków, dostarczonych mu przez zarządcę, zszedł ją z Polą w długich spacerach, jak daleko i szeroko mu przynależała i każda miedza była mu drogą, którą razem wzdłuż pól przechodzili, każda wierzba nad rowem, przecinającym, była mu kochanym i zażyłym sąsiadem, a rząd starych topoli wzdłuż łąki wydawał mu się być starą, wierną, przyboczną, gwardyą ich rozkosznego szczęścia.

Czerwonem złotem łanów pszenicznych mieniły się jej włosy, kryniczna czystość źródła przezieśniała w jej oczach, a członki jej, silne i giętkie, gdyby pręty wikliny nad brzegiem rzeczki, która do pobliskiego jeziora wpadała.

Przez nią i w niej odnalazł swoją ziemię.

Słuchał jej głosu gdyby tajemniczego rozhoworu odwiecznych drzew ich parku, wpatrywał się w jej sny, jak w rozkołysane odbicia na lekko sfałowanej powierzchni jeziora srebrnych topoli, rosnących tuż nad brzegiem, gdyby słoneczne wzloty rajskiego ptactwa, świętymi miłości hymnami rozśpiewanego.

Razem podpatrywali w lesie trzciny przyjeziornej gnieź-

dżące się kuligi, śledzili jaskółki, jak budowały w futrach stajen i obór misterne gniazda, wpatrywali się na polach w niebo-pienne wzloty skowronków, umieli badać z ciekawem natężeniem pracę mrówki i kłopotliwy wysiłek trzmieła, który nie mógł odnaleźć drogi do swej sadyby — a czasem i najczęściej trawili godziny całe, leżąc przytuleni do siebie na bujnej murawie małego wzgóрка tuż nad brzegiem jeziora na cichej rozmowie, pełnej miłosnej słodyczy, wpatrzeni w przejrzysty błękit nieba, w tajemną niebieskość szeroko przed nimi rozesłanego jeziora, na którym słońce miliardy dyamentów rozsypało.

Stroił ją w gorące maki, zadumane bławaty, tajemnicze róże wodne, otulał ją najkosztowniejszą przędzą swych bogatych snów, rozniecił wokół niej święty ogień, a życie ich stałoby się cudowną baśnią świętojańską, gdyby nie to, że raz poraz słyszał złowrogie trzeszczenie dachu walącego się dworu, żałobny postęk ziemi ojców i praojców, usuwającej się z pod nóg jego, zawodzący pomruk sędziwych drzew parku: jeden bolesny a gorzki wyrzut całej jego ojcowizny, że ją bezmyślnie zaprzepaścił.

Wtedy zrywał się na ratunek, spędzał dnie całe i bezsenne noce na obrachunkach, różnorodnych kombinacjach, naradach z swoim zarządcą, pertraktacjach z bankami i lichwiarzami, wyteżał wszystkie siły, by ruinę powstrzymać, ale już za późno.

Coś w nim zacharczało, a serce się skreśliło, gdyby je obca łapa w oprawczy uścisk ujęła.

Kiedy to było?

Aha!

W starym parku obwisały gałęzie pod ciężarem śniegu, że aż ku ziemi się słaniały — sam marzył i zazdrościł drzewom, że są otulone w takie wspaniałe grube, białe kożuchy — marzył, mimo, że miał na sobie ciepłe futro i czuł, że Pola, którą pod

rękę prowadził, marznie, mimo, że i ją jaknajstaranniej otulił i w futro i w szale jedwabne i najgorętszą krwią swego serca ogrzewał.

Szli długo w milczeniu. Śnieg skrzypiał pod ich stopami, a w powietrzu zaległa taka cisza, że zdawało się, iżby można teraz obroty ziemi posłyszeć.

I on i ona pragnęli mówić, ale — jakby im głuchy lęk dech w piersiach zapierał — słowa, które się przemocą przez płot zębów przedzierały, spychała jakaś brutalna, a może dobrotliwa pięść z powrotem w gardło... drżeli na myśl, że ostatecznie będą zmuszeni wreszcie to wypowiedzieć, co im słodycz najrozkoszniejszych chwil goryczą piołunu zaprawiało, bo Pola już oddawna przeczuwała, co go nagle w straszliwy niepokój smagało i wśród nocy z łóżka zrywało.

Ruchy ich paraliżował drżący niepokój oczekiwania tej chwili, którąby się na całą wieczność odsunąć chciało, a ma się to przeświadczenie, że się coraz więcej zbliża, że czycha za każdym drzewem, że się już do skoku przyczaiła i z nie-nacka z tyłu człowieka o ziemię powali.

Szli coraz wolniej i ociężale, jakby już całe mile byli ubiegli — gdzieś zdala z parafialnego kościoła z zmurszałej, chwiejącej się dzwonnicy — jak ją wyraźnie widział przed sobą! — płynęły rozgłośnie dzwony, surowe, poważne, ciężkich wyrzutów pełne — park się kończył, a przed ich oczyma rozścieliła się jak widna i daleka niebieska, dziewicza płaszczyzna śniegu.

Pod tym śniegiem śniła ich ziemia rozkoszny sen o wiosnie, radowała się, że niezadługo cała się zazieleni bogactwem pierwszej runi, rozkwieci się i rozmał pychą najprzeróżnorodniejszego kwiecia polnego...

Ziemio! ziemio! szeptało mu coś miłośnie w duszy i całą przywarł do tej ukochanej ziemi, całował ją, obejmował, głaskał, pragnąłby teraz zmieść z niej gruby pokład śniegu, by móżdż lepiej i wyraźniej jej rozkosznych snów podsłuchać.

A zasluchany był w jej ciche poszepty, dla niego tylko słyszalne, gorącym prądem obiegały go jej drgnienia, których nikt prócz niego nie odczuwał, a tak się czuł z nią zrośnięty, że na myśl, iż się od niej oderwać musi, przeżywał świadomie najstraszniejszy ból, jaki człowiek prawdopodobnie przeżywa, gdy się go odłącza od łona macicznego, ból, o którym Plato mówi, że człowiek w nim traci pamięć tego, co w przeszłym życiu był przeżył.

Przystanął nagle, przeszedł go zimny dreszcz, bo czuł, że stanął oko w oko z oną chwilą, której się tak lękał, którą był pragnął w nieskończoność odepchnąć, że pięść, która jeszcze przed chwilą twardo wtłaczała słowa z powrotem do gardła, słabnie i mięknie, że, że...

— Stało się! wykrztusił wreszcie.

Pola patrzyła na niego długo i przenikliwie, ale nic nie powiedziała.

I znowu patrzył na białą śniegu płaszczyznę, pod którą spoczywała ich ziemia, która się miała niezadługo rozzielenić cudną runią wiosennej oziminy, rozmaicie kwieciami kaczęńców przy rowach przydrożnych, pędzić soki ożywcze w nagie wierzby i srebrne topole na opłotkach i powtórzył bezmyślnie:

— Stało się! Niema rady!

Odetchnął głęboko, odwrócił się nagle, bo serce w skurczu bólu mu się skręciło, przycisnął silnie jej ramię do swego, silniej jeszcze — i znowu weszli w park.

Teraz szli krok za krokiem: mroczne światło wydało mu się czemś tak absolutnie i niezmiennie istniejącem, że nie mógł sobie wyobrazić, iż mogłoby być kiedykolwiek blaskiem słońca zamacone: blask słoneczny odczułby teraz gdyby nieznośny ból fizyczny — a martwota drzew naokoło wydała mu się pod pokrywą śniegu tak naturalną, że w głowie pomieścić mu się nie mogło, iżby kiedykolwiek na nowo życie rozpocząć się miało: gdyby się teraz coś ruszyło, gdyby z obwi-

słych pod ciężarem śniegu gałęzi oberwała się śnieżna bryła i choćby z cichym szelestem opadła na ziemię, wywołałoby to bez wątpienia w nim ciężki przestрах.

Teraz pragnął mówić, ale bał się swego głosu: odczeka jeszcze chwilę, aż będzie pewien, że mu się nie załamie, że się nie przestraszy, gdy w tej głuchej ciszy, w której już dawno przebrzmiały głosy dzwonów, posłysz go nagle, gdyby łoskot walących się kamieni.

Przed oczyma jego stanęła tabliczka nad biurkiem jego dziadka, a na niej wypisane złotymi głoskami słowa pisma świętego: „a pomnijcie na sprawy ojcowskie, które czynili za życia swego, a otrzymacie sławę wielką i imię wieczne!”

A mógłby teraz tego dokonać, kiedy jego najgorętsza tęsknota się spełniła: teraz, kiedy w współzyciu z Polą siły jego niepomniernie się spotęgowały, mógłby imię dziadów i pradziadów wynieść i wywyższyć i bogactwo swej ziemi pomnożyć i mnogość zasług sobie przysporzyć — niestety za późno!

Wysoka, dumna pani z papierosem w ustach, bilardowym kijem w jednym, a szklanką szampana w drugim ręku, pani o zblazowanych, kuszących oczach, mdłym, nęcącym uśmiechem na wązkich ustach zaprzepaściła mu ten święty szmat ziemi...

Wściekał się na myśl, że ta sławna, przez licznych wielbiących podziwiana pani, którą ongiś z zęby zacinającym wstydem był zmuszony żoną nazywać, ta obca pani, którą zdobył w głupim, samczym rekordzie wyścigowym, mogła nietylko zszargać nazwisko jego ojców, ale, zaczęł się spostrzegł i od niej wyzwolił, postawić go nad krańcem ruiny majątkowej... Zrozumieć teraz tego nie mógł, że, aby uratować resztkę, aby wraz z Polą nie znaleźć się w ostatniej nędzy, musiał sprzedać ten szmat świętej ziemi, szmat święty — święty — święty — powtarzał to bezustannie — szmat szaty Chrystusowej: wielkiej relikwii, jaką mu ojcowie przekazali.

Zastanowił się nagle i ryknął gorzkim śmiechem: nigdy nie myślał, że człowiek do tego stopnia oszukiwać się może: teraz nagle to obłudne uniewinnianie siebie samego, że ktoś mógł go zaprzepaścić — a hańba — a pośmiewisko! — żeby ona to zrobić mogła!

„Trop de reverance!”

Sam wszystko niszczył, aby w tych miejscach, gdzie najkrwawszy wstyd przeżywał, kamień na kamieniu nie pozostał, sam wyzbywał się tego kawałka ziemi, na której jej noga powstała, sam podrzynał korzenie swego bytu: sam to robił, bo bezustanny wstyd go dławił, że ten „przebujny zamorski kwiat” mógł mu zachwaszczać jego świętą ziemię.

Poco się okłamywać, poco się tak niecznie poniżać przed sobą samym, że ta obca pani mogłaby mu jego ziemię zaprzepaścić?! Sam — sam, w bezmyślnym, głupim rozpędzie oszomienia się i zagłuszenia sprzeniewierzył się całej wielkiej tradycji swego rodu, która go tak silnie z ziemią jego wiązała...

Dobrze ci tak! Dobrze! czemu ci więcej sił nie stało, by przetrwać? — powtarzał zaciekle.

A równocześnie czuł jako jakiś rodzaj ekspiacji tą ciężką mękę, te wszystkie tortury, tę straszną duszną rozterkę, jaką teraz przechodził.

Ale zacóż cierpi Pola?! — Ona, która tu nic nie zawiniła! To doprowadzało go do najcięższej rozpacz. — Jak jej to powie?

Szli coraz wolniej.

A jej dusza lodem się ścinała: Kiedyż wreszcie przemówi? Czyżby tak mało ufał jej miłości, że lękał się jej powiedzieć to, już dawno kochającym sercem przeczuwała? czyżby nie odczuwał, jaką mękę przeżywa, gdy widzi ten głuchy, milczący ból, jaki go trawi?!

A on aż nadto dobrze słyszał bezgłośnie wołanie jej duszy:

już miesiąc cały wsłuchiwał się z rozpaczynym bólem w jej myśli, czytał je w jej oczach, w dotknięciu jej ręki, w każdym jej zmęczonym, wewnętrzną męką jakby obezwładnionym ruchu: milczenie jej aż nadto wymownie mówiło, gdy nagle po gwałtownym wybuchu miłości popadała w ciężkie zamyślenie, oczy mgłą się zasłaniały, a wokół ust wiadł blady uśmiech, jak mrozem zwarzony kwiat — wiedział, jak się jego męką serdeczną męczyła, jak szła śladem jego kalwaryjnej drogi i milcząc, w myślach swoich krwawy pot mu z czoła ścierała, a to milczenie słyszał teraz głośniejsze niż kiedykolwiek.

Spojrzał na nią ukradkiem, szybkim, lęklwym obrzutem oczu: po policzkach jej spływały łzy, usta jej drżały, a drobna twarz ściągnęła się skurczem ukrytej, tłumionej męki.

Przystanął, zatrząsł się, pochwycił ją w swoje ramiona, zcałowywał z ziębniętej jej twarzy łzy, sam czuł, że płacze: z większą jeszcze tkliwością kołysał ją w swych ramionach, jak chore, ponad wszystko ukochane dziecko:

— Nie płacz! Nie płacz! Ja wiem, że to, czegom Ci powiedzieć nie mógł, powiedzieć nie chciał, dawno już przeczuwałaś... ale Ty wiesz, żeśmy się dziś z naszą ziemią żegnali... Powinienem teraz paść przed Tobą na kolana, czołgać się przed Tobą z błagalną prośbą o przebaczenie — miałabyś prawo mnie teraz od siebie odepchnąć, bom niegodzien Ciebie, ani tej ziemi, którą tak marnie zaprzepaściłem, ale Ty mnie kochasz i tego nie zrobisz...

Oplotła gorąco ramionami jego szyję:

— Cicho, cicho! szeptała — przestań się już męczyć — przecież już się stało — miałam dosyć czasu, na wszystko się przygotować — od dawna wszystko przeczuwałam, ale to mi mego szczęścia zniszczyć nie zdoła — jesteśmy młodzi — miłość nasza wszystko przewycięży — a ta ciężka strata nie jest dość ciężką, by mogła nasze szczęście zniszczyć.

Osunęła się na ziemię z jego ramion.

— Sprzedałeś? zapytała cicho.

— Wczoraj — głos mu się załamał i z ciężkim trudem zdusił w sobie nawałnicę rozpaczliwego szlochu.

Pola miała jego ręce w swoich i tylko bezustannie szepotała, tuląc się do niego:

— Cicho, cicho — młodzi jesteśmy, miłość nasza wszystko przewycięży — cóż ten jeden mały kawałek ziemi, całą ją w sobie mamy i nic jej nam nie wydrze...

Rzucił się do jej nóg i stopy jej w świętem uniesieniu całował za tę jej bezgraniczną dobroć, tę jej wielką moc...

II.

Wezbrała w nim fala gorącej miłości i rozlała się kojąca poświata nad burzą bolesnych wspomnień — pragnął teraz wybiedz z domu, wyjść Poli naprzeciw, szukać jej na ulicy, a wśród tysiąca kobiet rozpoznałby już z dala jej wiotką, gibką postać, wśród tysiąca ruchów rozpoznałby niechybnie jej miękkie, wytworne, a przytem elastyczne ruchy, ale zastanowił się, że mogliby się minać, a przytem śmieszny był z tym swoim niecierpliwym niepokojem: przecież Pola lada chwilę nadejść musi.

Oddychał głęboko, wyzwolony tem uczuciem miłości, które z dnia na dzień, mimo ciężkiej wewnętrznej rozterki potęgować się zdawało, ale zbyt silnie rozkołysało się podziemne jezioro jego duszy, by się tak łatwo uspokoić mogło.

Wyjechali wtedy za granicę — nie patrzyli za siebie wstecz, pomni biblijnej opowieści o żonie Lotha, która w słup soli się zamieniła — w miłości ich bezpamiętnej gubiły się wspomnienia — w rozgwarze wielkich miast głuchły poszepty drzew ich parku, gubiły się odgłosy dzwonów ich wiejskiego kościółka, płynące poprzez ich pola i łąki, w muzeach i bogatych świątyniach — w coraz to większym przepychu i boga-

ctwie kultury wieków całych zacierały się biedne, ubogie kontury tej ziemi, gładkiej jak stół, monotonnej, jak ubogie pancerze, jak psalmodye wieczornych niesporów, zadumanej wieczystym powrotem i nawrotem tych samych trosk, tych samych nadziejnych i bolesnych dum, jednostajnem weselem się cieszącej i jednostajnym smutkiem załzawionej... aleje niebotycznych cyprysów, zdumiewających swoją monarszą powagą i wykwintem prastarych rodów magnackich, kazały im przypominać o srebrnych topolach i ubogiej muzyce ich liści, gdy wiatrem trącane wraz o siebie biją — w pinetach włoskich, w których ongiś Dante lub Giotto bładzili, nie mieli czasu wspominać swojskich lasków olszyny lub białych brzoź, a groza wiekui- stych wód oceanu ścierała im z pamięci rozkosz wód ich jeziora, — a, gdy znienacka, najniespodziewaniej w świecie pamięć ożywała, przemocą mózg opanowywać ją, zagłuszali ją coraz to nowemi, silniejszymi jeszcze wrażeniami, stąpiali jej ostrze, jej raniące kolce miłością, która ich coraz silniejszą obręczą ścieśniała i ich wzajem w siebie wtłaczała.

Miłość zatryumfowała nad wspomnieniami, nad tęsknotą za ziemią, nad wyrzutami i rozterką duszną; zaspakajali głód za najwytworniejszą kulturą Europy, dusze im się rozrastały, coraz to szersze obejmowali horyzonty, aż wreszcie znużeni całoroczną podróżą, zapragnęli spokoju ciszy, wytchnienia.

Późną nocą zajęchali do małego miasteczka, słynącego z tego, że zachowało się w dziewiczej, nietkniętej czystości: takie, jakie zostało zbudowane przed pięciu, sześciu wiekami, pozostało nienaruszone po dzisiejszy dzień.

Gdy jechali do hotelu, ciemno było i deszcz padał: nie było na co patrzeć, bo jutro był na to czas.

Rychło się obudził.

Podszedł do okna i cofnął się zdumiony.

Hotel, w którym zamieszkali, stał, jakby całkiem na uboczu tuż nad krawędzią spadzistego wzgórką, który się wznosił nad

wązką rzeczką, płynącą w dolinie: taki sam wzgórek, jaki się utworzył przez wieki wskutek opadania i wysychania wody nad ich jeziorem — poza rzeczką lekkie wzniesienie — na lewo las: taki sam las, który ongiś był ich własnością — na prawo szeroka płaszczyzna, pocięta na różnobarwne łąchy łąk, żytnich pól, pszenicznych łąnów, zagonów wyki i koniczyny — rowy obsadzone takimi samymi wierzbami rozsochatemi, jak te, które przed rokiem z takim bólem żegnał, a wzdłuż rzeczki rząd smagłych topoli, jakby były co dopiero przesadzone tam gdzieś z Polski tu na obcą ziemię.

Miasta nie było widać, bo hotel zdawał się być wzniesionym na jakimś przyczółkowym cypelku, więc nie, prócz tych płaszczyżnianych pól, popstrzonych kępami maków, modrem kwieciem bławatów i tego lasu, w którym już na daleką przestrzeń rozróżniał jesiony i buki, dęby i graby, olszyny, sosny i rozłożyste poczochrane chojary.

— Pola! zawołał i nie mógł oczu oderwać od tego widoku.

Pola zerwała się z łóżka i pobiegła ku oknu: zatrzęsła się cała z zdumienia.

— To, jak u nas, szepnęła i jakieś dziwne, złowrogie przecucie skreśliło jej serce.

Zebrali się szybko, spożyli śniadanie i zbiegli w dół, w dolinę: na oglądanie miasta dość czasu było...

Przeszli kamienny most przez rzeczkę i dostali się na otwarte pola.

Janta był niezwykle podniecony. Przystawał co chwilę, oglądał każdy zagon okiem gospodarza, który niestety za późno, ale tem intensywniej, z ziemią się zapoznał, brodził z rozkoszą wąziutką ścieżką wśród bujnej, bogatej trawy łąk, każdy kwiatek polny nazywał polskiem nazwiskiem, tłumaczył Poli, o ile tu wyżej kultura ziemi stoi, aniżeli w Polsce — szli miedzami wśród dojrzewających już pól żytnich i był zdumiony urodzajnością gleby, podziwiał czarnoziem, na którym w cięż-

kie, zielone jeszcze kłosa wystrzeliwała pszenica, zdumionem okiem przypatrywał się ogromnym łebkom kwiecia węgierskiej koniczyzny, którą u siebie w ogrodzie tylko z największą troskliwością mógł wychodować, z miłością patrzył na porządnie już wzeszłą trawę owsa i jęczmienia, wdychał w siebie rozkoszny zapach rzepaku i gorczycy i znowu weszli na łąkę, tuż nad skrajem lasu.

Wśród gałęzi rokicin, kaliny, brzózek i młodej dębiny zanosiły się ptaki, migotały barwne motyle, w górze przeszywały powietrze jaskółki i skowronki — czasem zawisł na niebie jastrząb z szeroko rozwartymi skrzydłami, zataczając coraz to cieśniejsze kręgi, by wreszcie czatować w jednym punkcie i strzalać się na upatrzoną zdobycz rzucić, w lesie odbywała się kukulka i słychać było stukanie dzięcioła — kilkunastogłosowa symfonia najprzeróżnorodniejszego ptactwa leśnego rozbrzmiewała w lesie, a wzdłuż miedzy rozsiadła się łopucha, biegały krwawniki, płowiała mietlica, niebiesciało kwiecie cykoryi, czerwieniły się gęstym kwieciami obsypane krzewy głogu, wokół wiły się, pełzną po ziemi poplątane pręty bluszczu i rozwachlarzyły się misternie cyzelowane liście krzewów paproci.

Siedli na krawędzi lasu, a na dusze ich stłoczył się wielki, bolesny ciężar.

Janta posowiiał i pochmurniał. Pola z niepokojem patrzyła ukradkiem na niego.

Jak strzała, puszczone z cięciwy, utrafiła nagle tęsknota za ich ziemią w jego serce i obezwładniła je trującym, nieuleczalnym jadem.

Zapomniał, że jest na obcej ziemi: wizja ich własnej narzuciła się z taką siłą jego oczom, że zdawało mu się, iż to jakiś majak szatański, wyczarowany przez podświadomie nurtujące w nim sumienie.

Giał się w sobie i łamał jak krzew w dzień tuczy, szarpany rozhułaną burzą, która się nagle zrywa, nie wiadomo, skąd

i kiedy, niszczącym orkanem nad ziemią przeleci, coś w nim go skręciło, jakby chciało w nim wydźgać wszystkie niewypłakane łzy; bijące ciężkim bólem tęsknoty serce uczył w krtani, chciał coś powiedzieć, ale słowa z siebie wykrztusić nie mógł: za nagle go to opadło, chytrze, podstępnie, znienacka — wtedy, gdy się najmniej tego spodziewał.

Krew ciurkiem sączyła się w jego duszę — poranił sobie wyciągnięte ramiona o obręcz, ostrymi kolcami najeżoną, a którą drzewo Poznania było okolone.

W dali rozsiadło się na wzgórku miasto, jak baśń jakaś czarowna z dawno ubiegłych wieków: wizya rzeczy dawno prześnionych i dawno już zapomnianych, a nagle, jakby do nowego życia wskrzeszonych tem samem życiem, jakim ongi żyły — dobrotliwa wizya, która człowieka od rzeczywistości odrywała i przemocą mu wstecz kazała ubiegać: wystrzeliwały w niebo bastiony i wieże obrotne, ciągnęły się wokół warowne mury, poza którymi piętrzyły się wysokopienne dachy domostw, dachy rozegrane całą symfonią czerwieni, po cząwszy od ciemnej, omszałej aż het w górę ku jasnym plamom świeżą dachówką pokrytych rondli — ostrą iglicą rysowała się na tle przeczystego nieba wysmukła wieżyca ratusza, rozsiadły się na niem ciemnymi, misternie narysowanymi sylwetami wieże gotyckich kościołów, ale Janta był ślepy na całą tę niesłychaną, niepojętą piękność, którą jarzącymi oczyma, wpółotwartymi usty wchłaniała w siebie Pola. Na chwilę oderwała się od rzeczywistości — w swoich piękności najwięcej stęsknionych snach nie zdołałaby wymarzyć równie cudnej baśni, wdychała w siebie jej czar, wgarniała go w swą duszę, by już go na wieki w sobie zakląć, a nagle spojrzała na Jantę i serce jej lodem się ścięło.

Janta nie widział nic prócz rozczesanych wierzb na mokradłach nadrzecznych, smukłych topoli przydrożnych i tych pól, zagonów i łąnów i tych łąk bogatych, których trawa wydała

mu się w poszumie wiatru, gdyby sfalowana powierzchnia ich jeziora.

Patrzył, patrzył, a coraz boleśniej kurczyła mu się dusza. Coś, jakby ciężki, zawodzący lament — tak! lament! innego słowa nie mógł znaleźć na to, co teraz czuł.

To pewno była niedziela — bo tym samym blaskiem niedzielnym rozścieliło się słońce tu na tej obcej ziemi, jak tam u niego — ta sama przytająca cisza, jak przed Podniesieniem w ich małym kościółku, ta sama odświeżająca uroczystość w powietrzu, co mgławą światłością nad weselnymi godami rozrodzonego życia ich pól zalegała.

Niedziela w powietrzu — niedziela nad rozmodlonymi polami, w cichym poszumie wiatru wśród olszyn, kalinek i młodej dębiny, który mu grał w uszach takie dalekie, takie swojskie melodye — tylko w duszy jego Wielki Piątek, gdy już dzwony oderwały się od dzwonnich belek i do Rzymu powędrowały po błogosławieństwo — nie! po absolucję dla jego grzesznej duszy, dla syna marnotrawnego, który najświętszą spuściznę ojców i praojców swoich zaprzepaścił: ziemię swoją!

Zerwał się:

— Pójdźmy stąd!

Pola słyszała wszystkie jego najskrytsze myśli, rozgłośniej jeszcze, jak gdyby je był na cały świat wykrzykiwał. — Pola wiedziała, jak trujące zielsko udręki i tęsknoty i bólu jęło się rozrastać na zielonej łące jego duszy i Pola wszystkimi siłami jęła z niej wypłeniać chwasty i kąkol i blekot i złą bylicę, pełła tą bezustannie chwaszczącą się glebę z bezgraniczną miłością, ale od tej chwili, gdy Jantę dosięgła zatruta nieuleczalnym jadem strzała, wymierzona z cięciwy zdradzieckiego łuku — tam, w tem obcym mieście na obcej ziemi — stała się bezradna.

Błądzili z miejsca na miejsce: nigdzie już spokoju — ni-

gdzie wypoczynku: upiorna wizya utraconej, zaprzepaszczonej ziemi już Janty nie opuszczała.

Jak dżumy plama przeszła z serca na serce jego tęsknota, jego rozterka i udręka na nią sama.

Bywało, że zrywał się w nocy, chodził jak w śnie lunatycznym dookoła pokoju, gadał z ziemią, przekomarzał się z nią, chwalił ją za bogaty plon, obiecywał jej kosztowne nawozy, które jej siłę rozrodczą w tysiącraki sposób spotęgują, przekonywał ją, że teraz ten jej szmat trzeba pozostawić ugiorem, bo już zbyt wycieńczony—tamten zaś, gnuśny i leniwy, teraz doskonale wypoczęty, trzeba głęboką orką, w razie potrzeby i marglą i drenowaniem zmusić do pracy—kawał jej łąki, który bezustannie próżniaczył w *dolce far niente* zalewu i odpływu wody jeziornianej na wiosnę i pod jesień ostatecznie gruntownie wysuszyć i do rzetelnych usiłowań przyzwyczaić — wtedy zrywała się Pola z łóżka: młode, gibkie, giętkie jej ciało trzęsło się jak młoda osika wśród wichru, ale nie śmiała mu tych jego halucynacyi przerywać — wsłuchiwała się w nie z coraz więcej rosnącą tęsknotą, aż wreszcie tą samą zmorą opętana, błędziła z nim razem po miedzach wśród pól, ścieżkach wzdłuż łąk, na pobrażnej murawie jeziora, porośłego lasem sitowia i tataraku — błędziła z nim po rozłogach i ugorach, których spiekłą ziemię tu i ówdzie rozerwała wysokopienna, żółtem przedziwnem kwieciem oblepiona łodyga dziewanny, spuszczała się w nieprzebyte gąszcze i jary parowu i szli aż hen pod cmentarz małego kościółka...

Bywało, że Janta zasiadł do zawiłych i skomplikowanych obrachunków, czyby jeszcze nie był zdołał ziemi utrzymać i nie potrzebował jej sprzedawać — obliczał, ile byłoby mu przypuszczalnie żniwo przyniosło, które się wtedy bogato zapowiadało, ile byłby mógł brać z cukrowni za centnar buraków, a ile za korzec perek, które właśnie wtedy, gdy majątek sprzedawał, nadzwyczajnie obrodziły.—Pola wtedy zasiadała

z nim razem, jakby zarażona jego obłądną manią, liczyła porówno z nim, zatapiała się w wszystkich przypuszczalnych możliwościach wydajności ich ziemi, spisywała ogromne kolumny liczb, prostowała je, tu dodając, tu odejmując, formułowała nowe szeregi obliczeń z zdumiewającą, przenikliwą znajomością źródeł dochodu, które nawet jemu były obce.

A, gdy się już znużyli kilkugodzinna, uciążliwą pracą obrachunkową, gdy już po tyle i tyle razy skonstatowali, że się przedwcześnie ziemi wyzbyli, wtedy brali się pod ręce wciąż jeszcze w tej samej miłości, która ich od pierwszej chwili nierozzerwalnie łączyła, i jęli bładzić od jednej chłopskiej chałupy do drugiej po całej wsi i każdego chłopa po imieniu i nazwisku nazywać, jego przywiązanie i pracowitość wysławiać—a przed oczyma ich przesuwiał się w posuwistym korowodzie szereg postaci w siermięgach, kozuchach, sukmanach: przodownik podczas kośby Walek, którego kosa była tak sprawna, że innych kosiarzy o dziesięć kroków wyprzedzał — mądry owczarz Kuba, zawołany znachor, znający się na wszystkich chorobach i na niebie i na powietrzu i na gwiazdach — rataj od wołów, stary Jędrzej, który utykał na jedną nogę, a umiał krowy ratować, gdyby najlepszy konował, jak się na mokrem pastwisku wzdęły i stangret Siemion, który i szóstkę prowadzi, jakby na doskonale ujeżdżonym koniu siedział i stajenny Wojtek, który zabawiał ich sztuczkami na nieosiódlanym żrebcu, gdyby jakiś cyrkowiec.

I tak szli po całej wsi od jednej chałupy do drugiej: odwiedzili starą Marcychę, która była ongi Janty piastunką, a pewno znała wszystkie najskrytsze tajemnice dworu, ale klucz do tych swoich skrytek w głębokiej studni zatopiła: niczego od niej dowiedzieć się nie było można — wstąpili do Ulichy, ulubionej pokojówki Poli, która co dopiero za mąż wyszła, aby jej oznajmić, że za wierną służbę dostała dojną krowę w posagu — nie zapomnieli odwiedzić ochronki i wysłuchać obo-

wiązkowych śpiewów i deklamacyi wiejskich dzieciaków, schludnych i zdrowych — poszli na żniwne pola, gdzie ich w tej chwili żniwarze i żniwiarki opasywali powrośłem: Janta chętnie się wykupywał kilku rublami na baryłkę wódki — patrzyli na snopy czerwonej pszenicy, poukładane w nieprzeliczone mendle i zdawało się, jakby ich miłość, ich szczęście promieniowało na zewnątrz bezgraniczną łaską: wszystko wokoło żyło ich radosnem szczęściem — i ziemia i ludzie i przeźroc nieba i ciemna toń jeziora.

Tęsknota wżerała się coraz głębiej w ich serca: tłukli się od jednego wspomnienia do drugiego, jak dwojga ptaków, które się znienacka dostały do potrzasku — ogarnął ich drażniący niepokój, szukali zapomnienia, wszystkimi siłami starali się opędzić wizyi ich ziemi, ale ta bezlitośnie ich wszędzie ścigała, chwytала za ich strudzone głowy, wkręcała mściwe pazury w ich włosy i odwracała ich oczy tam — w tą mgławą, zaczarowaną dal, gdzie coraz wyraźniej majaczyły się łany ich pól pszenicznych, w poświście wiatru kołysały się wysokie trawy bujnych łąk, szeleścił tajemniczo zwarty las trzciny, sitowia i tataraku nad tem jeziorem, tem jedynem, nad którego czarnem uroczyskiem rozścieliło się niebo z wszystkimi swoimi cudy, całą swoją zmianą i przemianą, swoimi błękitami i purpurą groźnego majestatu burzy i czarującą sennych gwiazd poświatą — to jedno, jedyne niebo, którego czar gasił i zdmuchiwał z pamięci osławione cuda nieb Zachodu i Południa.

I coraz głębiej wgrzebywali się w wspomnienia przepastnego mroku tej ziemi, do której już wrócić nie mogli.

Wrażliwość ich na to wszystko, co ich dotychczas odurzało, stępiała, a w ustawicznej włóczędze z miasta do miasta, okrzyczanych i sławionych z bogactwa zabytków architektury i sztuki ognisk najwyrafinowańszej kultury, wynosili li tylko rozkoszną, a tak bolesną pamięć tych godzin, które razem o zmroku aż w późną noc spędzali nad rozpamiętywaniem naj-

drobniejszych szczegółów ich pożycia na ich tak dalekiej, a tak gorącym życiem w ich duszy drgającej, rozdzwonionej, wołającej, rozmodlonej, z upragnioną tęsknotą wyczekującej ich ziemi.

Nieraz płacz wewnętrzny targał ich dusze, kurczyły się z bólu ich ciała od tych bezustannych wyciągań ramion za utraczoną ziemią, a wtedy goręcej jeszcze tulili się do siebie, wsłuchiwali się w miłosne, zapomnienia spragnione poszepty swych dusz — och! to rozkoszne „nieraz“, które ich gorącym opłotem ramion łączyło!

Wokół jej twarzy rozlała się bogata grzywa, starem złotem mieniących się włosów miękka fala włosów, delikatnych jak przedza jedwabna, spływających po jej szyi w tysiącznych pierścieniach, zwojach i splotach, a z tego bogatego obramienia wykwiłała gdyby kosztowny kwiat twarz o wytwornych rysach, których pozorna nieregularność wytwarzała właśnie przedziwną harmonię. Z pod łuków ciemnych brwi, ocieniających oczy, zsuwały się i odmykały powieki, w których drzeniu mógł wyczytać wszystko, co się w jej duszy działo. Gdy się na oczy zsunęły i delikatnymi rzęsami je zamknęły w zamyśleniu, we śnie czy w rozkoszy upojenia, mógł każdą myśl w jej duszy wyczuć, mógł nawet jej sny odgadnąć... i tak nieraz wpatrywał się długo w te zamknięte oczy, głaskał je w sen nieskończenie delikatnymi palcami i czekał, kiedy się otworzą, kiedy znowu ujrzy ich jasne, kryniczne spojrzenie — czasami smutkiem i cichą melancholią zamglone, czasami ciemne i tajemnicze, jak głąb jeziora, a zawsze tą samą niezmienną miłością na niego zwrócone.

Kochał tę twarz o nieskończenie delikatnej płci, wyłaniającą się z pod gęstych, sfalowanych splotów bogatych włosów, mieniącą się odbłaskiem ich połysku. To nie rumieńce, to szlachetny inkarnat cieniutkiej skóry, którą nieskończenie deli-

katna siateczka żyłek krwionośnych w ustawicznej przemianie coraz to nowym urokiem barwiła.

Usta! Och te pełne słodkie, gorące usta, ten tajemniczy, kosztowny kwiat jej duszy, z którego bezustannie ssał rozkosz i ukojenie i brał z nich coraz to świętszy sakrament miłości!

Czem były teraz dla nich muzea, świątynie, najwspanialsze wytwory kultury!

Przytulali się do siebie o zmroku i snuli bogate przedziwo wspomnień, które razem przez ten błogosławiony rok na swej ziemi spędzili.

Wspominali, kiedy on ją pływać uczył... Cięli nożykami grube łodygi sitowia, zbierali w snopy, wiązali powrósłami wysokiej trawy w jeden silny wał, na którym Pola całym ciałem swobodnie położyć się mogła, bo wał ją unosił.

— Teraz ramionami rozgarnij wodę i znowu ręce składaj — teraz je znowu rozkładaj, tylko nie tak gorączkowo, nie tak gwałtownie, ruchy muszą być miarowe, bez niepotrzebnych wysiłków...

Trzymał jedną ręką wał, płynął obok ruchem jednego ramienia i dawał wskazówki: coza rozkosz, gdy poraz pierwszy puściła się sama na jezioro bez pomocy wału — jaka była z tego dumna i szczęśliwa, że pokonała żywioł, że woda jużby jej schłonać nie mogła, że chociażby się łódź na środku jeziora wyrzucić miała, ona już swobodnie do brzegu dopłynie!

I pokochała jezioro, które ją dotychczas bezwiednie straszło, którego się lękała, gdy w przejażdżkach czołnem nagły wiatr się zrywał, bo wiedziała, że już teraz niczem jej nie grozi—pokochała je, jak kochała swego dzikiego wierzchowca, który pod nią chodził, łagodny, jak baranek, gdy na niego siadła.

I godzinami całymi krążyły ich myśli naokoło tego jeziora.

Wspominali, gdy sobie kazali o późnej nocnej godzinie osiodłać konie i wyjechali poza wieś, pełną zapachu świeżo zwie-

zionego siana — świerszcze skrzypiały w co dopiero skoszonej potrawie łąk, żaby rechotały w małych, zamulonych stawach i w skisłych moczarach, księżyc roztoczył na niebie całą swoją świetlistą tarczę, znowu tonął w zawłokach przejrzystych chmur i znowu wypływał — nad parowem, wzdłuż którego stępa jechali, zwieszały się po zboczach ciemne dąbrowy, a pomiędzy ich czarnymi zwałami przesiewało się w dół to wiecznie tajemnicze, nęcące niepojętą tęsknotą światło miesiąca i srebrzyło dyamentową rosą w dole płynącą rzeczke, popręgowaną czarnymi cieniami zwieszających się nad nią gałęzi wierzb i krzaczastych głogów.

Zsiedli z koni, bo zdawało im się, że macą tą świętą ciszę jakiejś głębokiej, skupionej mszy całej ich ziemi, że przerywają jej podzwonne pacierze, że strudzona znojną pracą dnia nie będzie mogła spokojnie zasnąć pod dzwoniącymi kopytami końskimi i dopiero, gdy wyszli na bitą drogę, gnali co koń wyskoczy, przed się do pobliskiego miasteczka, zawsze na oścież otwartego dla ościennych wielmożów.

A ten rozkoszny powrót w nocy księżycowej: konie bokami się o siebie ocierały: jechali wolno, coraz wolniej, a nagle przegięli się ku sobie w krótkich gorących całunkach, w szybkich, a zwinnych uściskach...

Hej! Hej!

Pola!

Znowu gorącą falą miłości przelał się ukrop krwi w jego żyłach, spojrział niespokojnie na zegarek i znowu przebiegał niestrudzenie wszystkie pokoje, ubierał się w palto i znowu je zdejmował, bo lękał się, że się gdzieś na ulicy miną, że Pola przyjdzie do domu, go nie zastanie i gotowa biedz go szukać.

Pałił jednego papierosa po drugim, przyciskał rozpalone czoło do szyb, deszczem ociekających, a nagle się zastanowił:

Zdobyć z powrotem ten szmat ziemi, który był zaprzepaścił,

byłabyż to rzeczywiście rzecz, tak z wszelkich możliwości wykluczona?

Zamyślił się.

Pocóż tak tchórzliwie wypierać się tego, co dniem i nocą — może bezwiednie, a może świadomie — tylko lękał się samemu sobie to przyznać — w duszy jego nurtowało?

Przecież to nie przypadek, że zamiast na Zachód i Południe kierowali się w swej podróży z systematycznym uporem na Wschód, coraz więcej w pobliże ich ziemi — jedno przed drugim zdradzić się nie chciało, ale tą jedną myślą żyli, w tym jednym kierunku wyteżały się ich pragnienia, a każdy krok, który ich do ojczyzny zbliżał, był dla nich głębokiem odechnięciem i jakby przedsmakiem wyzwolenia.

Pola! Pola!

Nic nie mówiła, niczem się nie zdradzała — jakby od niechcienia rzuciła myśl o pobycie w północnym Tyrolu, mimo że już dawno projektowali spędzić zimę na Capri, posuwali się jakby automatyczną koniecznością w stronę Wiednia, a on pochopnie spełniał jej życzenia, bo już mu się zdawało, że dołatuje go zapach ziemi ojczystej, a w miarę, jak się do niej zbliżał, coraz goręcej za nią tęsknił i coraz uporczywiej mózg jego się rozogniał, jakby ją na nowo odzyskać.

Długie godziny maniackich wspomnień, bezustannych nawrotów do tak niedawnej przeszłości, wypełniały teraz godziny, w późną noc przedłużane, w których roili plany, jakby się na nowo dostać w posiadanie ojcowizny. I znowu dawała Pola bogaty karm jego rozbujalej wyobraźni, nasuwała mu tysiące pomysłów: mózg jego był ustawicznie zajęty — całował w myślach z głęboką wdzięcznością jej stopy: Pola była jego lekarzem. Nie pozwoliła mu się w tępej apatii, rozpacznej rezygnacji poddawać ciężkiej melancholii tęsknoty, która duszę jego już czarnemi skrzydły otulać jąła w przebolesny, głuchy sen — jeszcze się w kółko kręcił jak zbłąkany koń, który już wietrzy

poblize swej stajni: nie wie jeszcze, w którą stronę pobiedz, ale już chrapami wdycha powietrze, stamtąd go dolatujące.

A z chwilą, w której Pola jąła rozdmuchiwać iskierki, tłące na dnie popieliska, które z spalonych nadziei, by módz kiedyś-kolwiek utraconą ziemię odzyskać, jeszcze zostały, nabierał coraz więcej sił, rósł w moc i jął bić głową o mur, który — w jego myślach i nadziejach przynajmniej — z tynku oblatywać począł.

W jasnych chwilach zdawał sobie sprawę, że chyba jakiegoś cudu oczekiwał, ale, gdy popuścił cugle swej rozgorączkowanej wyobraźni, wtedy wszystko stawało mu się możliwem, bo przecież i największym cudom nie sposób odmówić realnych podstaw. Tak filozofował.

A więc mógłby nastąpić jakiś kataklizm żywiołowy: czytał niedawno, że po ostatnim wybuchu Wezuwiusza można było bezcennie kiedyś winnice, nabyć teraz za psie pieniądze — no! taki kataklizm w Polsce wykluczony, ale mogłyby jakieś katastrofy nastąpić, któreby cenę ziemi o połowę jej wartości obniżyły, kiedyby z łatwością mógł swoją utraconą ziemię nabyć jeszcze taniej, aniżeli włoskie winnice.

Śmiał się, gdy z tych rojeń na jawie, z tych snów fantastycznych trzeźwiał, a jednak... jednak...

Z chciwością chwycił gazety i długimi godzinami studyował sprawozdania giełd europejskich, tego najpoważniejszego barometru położenia politycznego — z rozkoszą wyczytywał niepewne, a coraz groźniejsze wieści o grożących zatargach między państwami Europy i kalkulował w natężonej mózgowej pracy, jak w razie wojny cena ziemi opadnie, opasć musi — studyował mapy, jakim szlakiem nieprzyjaciół w danym razie przypuszczalnie pójść musi, a przy wszystkich możliwych kombinacjach wypadało tak, że wieś jego, tak czy owak musi się znaleźć w obrębie operacji wojennych.

Najwięcej jednak zastanawiały go wieści o tworzących się

związkach strzelców polskich, załazku przyszłego wojska polskiego, gorączkowo wywiadywał się o ich organizacyi, zbierał skrzętnie ulotne pisma, broszury: co tylko mógł dostać pod rękę chciwie pochłaniał, uczył się na pamięć regulaminu wojskowego, jał się rozczytywać dniami i nocami w pismach i książkach, dotyczących wojny i taktyki wojennej, rozmiłował się w rzemiośle rycerskim, w lot rozwiązywał najtrudniejsze problemy taktyczne i jakby rósł, potężniał — cała chłobra, bohaterstwa tradycja rozpałała się gorącym zarzewiem w jego duszy.

A Pola coraz więcej rozżagwiała ogień i coraz większe narezcza smolnych gałęzi znosiła, by go w olbrzymie ogniska rozniecić.

— Chciałeś zdobywać małusieńki szmatek naszej ziemi, a przyjdzie Ci pójść na zdobycie całej — zakreśliła palcem na mapie kreskę od morza do morza — rozśmiała się wesoło.

— Może nie tyle, ale i to by na razie starczyło — kreślił granice.

I rozpoczęły się długie wywody polityczne, w których Polę przekonywał, że przyszła wojna odbędzie się na terenie ziemi polskiej, a wieś ich — tak, czy owak — którądy nieprzyjaciół na ziemię polską wkroczy, musi się z absolutną pewnością znaleźć w obrębie operacji wojennych.

Pola patrzyła na niego uśmiechnięta.

— Pocóż ty mnie przekonujesz, kiedy ja już oddawna przekonana, że Ty z powrotem naszą ziemię zdobędziesz?!

Nadsłuchiwał.

Na ulicy, zazwyczaj tak cichej, że zdawało się, że już całkiem wymarła, wszczął się rozgiełk głosów, jakieś krzyki dołatywały z oddali, jakieś śpiewy chóralne — zerwał się niespokojny, ale tym razem posłyszał gwałtowne dzwonienie u drzwi.

Otworzył je szybko — ujrzał Pole, zdyszana, rozgorączkowana, całą roztrzęsioną.

Oczy jej były roziskrzzone: lęk, trwoga, niepokój, a równocześnie coś jakby radosne wyczekiwanie, tryumfalne podniecenie biło z nich gorącym światłem.

Drobna, delikatna, a urokiem wytwornej piękności zniewalająca twarz to bladła spływającą krwią do serca, to znowu nagle kraśniała gorącymi wypiekami, jak w gorączce.

— Co się stało? pytał wystraszony.

— Chwilkę poczekaj... teraz dopiero wyzwalać się ją. — Wybacz, żeś musiał na mnie czekać... Tłumy, nieprzeliczone tłumy na ulicy — słyszysz?

Coraz rozgłośniej rozbrzmiewał śpiew, coraz bliższe okrzyki...

— Wojna! oddychała głęboko — Austria, Niemcy, Rosya...

Nigdy nie stała mu wizja ich ziemi z taką niesłychaną mocą przed jego oczyma, jak właśnie w tej chwili.

Serce w krtani mu wrosło, zatrzęsał się od stóp do głowy:

— I Polska! wykrztusił.

— I Polska! odpowiedziała gorącym echem.

— Jutro jedziemy...

— Jutro! powiedziała z mocą i zarzuciła ramiona na jego szyję.

— Tak, tak, tak!

III.

Janta konia przywiązał do drzewa w głębi lasu, a sam podpełzł aż ku zrębom, i wyciągnięty na brzuchu, wpił się oczyma w ten wyśniony, wytęskniony widok jego wsi, jego pól.

Wreszcie! Dusza rozegrała mu się oszołomioną radością ptaka, rozśpiewał się w niej w niebo bijący hejnał spełnionych marzeń, dokonanych tęsknot.

Tak! to jego Krusza!

Już mroczniało.

Nieprzyjaciół ostrzeliwał dzień cały pozycje żołnierzy polskich, ukrytych w lesie, ale piekielny ogień słabł teraz przy skłonie dnia — raz po raz padł granat w mały laszek, robił potężne wyrwy, wyrzucał w górę olbrzymie kępy trawy, krzewy i drzewa z korzeniami wyrwane — wybuchała w niebo, jak z krateru wulkanu, piaszczysta z ziemią pomieszana lawa, wokół rozsypywały się połamane gałęzie, roztrzaskane na miazgę pnie, ale Janta na to nie zważał. Myśli jego, jak spłoszone stado dzikiego ptactwa rozlatywały się na wszystkie strony, uciekały wstecz, pędziły naprzód, zataczały wokół szerokie kręgi, znowu się zbiegały, by za chwilę rzucić się do ucieczki.

Przed oczyma jego stanęła znowu tabliczka z złotymi głoskami, wisząca nad biurkiem dziada:

„A pomnijcie na sprawy ojcowskie, które czynili za życia swego, a otrzymacie sławę wielką i imię wielkie“.

Kolana uginały się pod nim w pokornej wdzięczności, że danem mu było — jemu właśnie, marnotrawnemu synowi, który szmat ziemi w bezmyślnym obłędzie zaprzepaścił — zdobywać go teraz z powrotem swoją krwią — nie! nie ten szmat ziemi, który mu już nie przynależał, ale całą — całą ziemię, jak daleka i szeroka: i uczył niewysłowione szczęście, że danem mu było, spełnić najświętsze przykazanie ojców i praojców, bo zaiscie nie mógł go lepiej spełnić, jak niosąc w ofierze ojczyźnie całe swoje życie i szczęście całe.

I „pomny na sprawy ojcowskie“ stawiał się jeden z pierwszych na wielki zew, który powołał synów ziemi polskiej na straszny bój przeciw odwiecznemu wrogowi.

Rozhulała się w nim rycerska krew jego przodków, a ani na chwilę nie zawiodła wielka i święta ofiarność duszy Poli, do największych poświęceń i trudów gotowej — na pierwszy zew

wrócili w gorączkowym pośpiechu do kraju — Pola wstąpiła po krótkim kursie Samarytanek jako pielęgniarka do szpitali obozowych, on przyłączył się do formującego się właśnie pułku ułanów.

Teraz znowu jęknął głucho, granatami rozszarpywany las, rozległ się trzask gałęzi i na szczapy rozrywanych pni: aż ku niemu sypała się lawa piasku, ale on jakoby był na wszystko ogłuchły. Myśl jego wybiegała ku Poli i drżała ciężką trwogą, bo Pola pracowała w szpitalu za frontem, na który od dni kilku wprost rozpaczliwe wysiłki ognia nieprzyjacielskiego skierowane były.

W mózgu jego wikłała się bezustannie rzeczywistość z nie-daleką przeszłością.

Nie widział dobrze w zapadającym zmroku tych wszystkich ścieżyn polnych, tych miedzi i dróg, które raz z błędzili, a nawetby ich dojrzeć nie mógł, bo pola jego były poroz-orywane rowami strzeleckimi, w których się teraz wróg ukry-wał — wszędzie, gdzie spojrzał, widział na żółtem ściernisku czarne plamy — widocznie doły, przez granaty powyry-wane — ani śladu nie pozostało z przydrożnych wierzb i to-poli, nie szklili się jak dawniej cienki pasek rzeczki — widocz-nie ją wróg gdzieś w głębi zatamował, by w danym razie wy-wołać zalew terenu, na którym jutro już pewno krwawa walka się stoczy... tam stały dawniej obszerne czworaki, które sam budował, ale został z nich tylko komin — tu na lewo stała za-grodą chubiarza, ale dostrzegł tylko nieforemną kupę gru-zów — spojrzał w stronę gęstego ongi parku: pełno było w nim olbrzymich dziur, przestronnych wylotów, łysin i nagłych po-lan, ale nie widział białych ścian dworu — widocznie i arty-le-rya polska nie próżnowała — ale to całe zniszczenie mało co go obchodziło: on czuł dokładnie, jak w jakiejś nieskończenie błogiej wizji, ramię Poli pod swoim i teraz znowu obchodzili

wzdłuż i wszecz ich ziemię i na nowo brali ją w swoje posiadanie.

Duszę jego targała miłość, tęsknota za Polą, żarł go bezustannie chory niepokój o jej zdrowie i życie — słyszał, że właśnie ten szpital, w którym Pola swoje ciężkie obowiązki spełniała, był narażony na groźne niebezpieczeństwo, bo nieprzyjacieli, nie zważając na Czerwony Krzyż, brał go bezustannie w najcięższy ogień, szukając poza nim ciężkich działań... Ale i z tego, co stanowiło jego najwyższą świętość, jego jedyne szczęście osobiste, musiał zrobić ofiarę, jeżeli miał spełnić przykazanie ojców, jeżeli miał duszę swoją z wszystkiej zmazy oczyścić — musiał czuwać nad sobą, by bezustanna myśl o Poli nie przeżarła zacieklej jego woli, nie osłabiła jego ramienia i oczu mu mgłą nie zasnuwała.

Myśl o Poli ani na chwilę go nie opuszczała. Dopóki wiedział, że mimo najcięższych trudów jest w bezpieczeństwie, była mu ta myśl o niej podnieta, rozżagwiała krew jego do bohaterских czynów, potęgowała jego tak już szaleńczą śmiałość i odwagę do nadludzkich wprost rozmiarów: nie wiedział, co to niebezpieczeństwo, ani na chwilę nie pomyślał o śmierci, śmiał się, gdy grad kul wokół niego świstał, rzucał się śpiewając na największe przeszkody a gdy już po miesiącu wskutek niezwykłego męstwa, a równocześnie bezustannych dowodów zimnej rozwagi i nadzwyczajnych zdolności, został rotmistrzem, szwadron jego słynął na całe wojsko z swej zdumiewającej sprawności i budzącej podziw brawury.

Pola!

To głuchy okrzyk bojowy w jego duszy — to tarcz jego, o którą się wszystkie kule odbijały, na której łamała się stal najprzedniejsza szabli wroga, a najeżone bagnety jak trzcina się zginały... Pola: to gorący strumień zwyciężkiej bohaterkiej woli, który go okrażał, a który on w swoich żołnierzy przelewał.

I kochał swoich żołnierzy, bo każdy z nich, nie wiedząc o tem, żył cząsteczką sakramentu jego duszy, każdy był mu blizkim i mu niejako spokrewnionym tą samą myślą i tą samą wolą.

Nie wiedzieli, że tem żyją, że to Pola — jego Pola — do boju ich prowadzi, ich osłania, zwycięstwem i chwałą pokrywa — on jeden to wiedział, a dusza mu rosła i potężniała do tej mocy i potęgi, że sam jeden rzuciłby się bez wahania na cały szwadron nieprzyjacielski.

Ucichło: nieprzyjaciel zaprzestał już teraz tej śmiesznej strzelaniny, która mu myśli na wszystkie strony rozganiała.

Teraz już nie był widocznym celem, bo coraz gęstszy zmrok zapadał, siadł na murawie na skraju olszynki i patrzył — patrzył...

Odgarniał przykre i wstrętne wspomnienia dni, które tu przeżył, a na oścież otwierał wrota swej duszy dla tych niedzielných, odświętných, tych nieskazitelnie białych i czystych onego błogosławionego roku, który na tej ziemi razem z Polą był spędził.

Ale poraz pierwszy wspomnienia te nie dążyły ochoczo, wesoło w gościnny dom gospodarza — przekraczały próg jego duszy powoli, wahajaco, z zbyt wielką powagą, jakby nieśmiało, jakby złowróżebne wieści niosące, posmutniałe z cichym nieswoim uśmiechem.

Zbyt głębokie pokłony, zbyt pokorne przystawanie przy ścianach obszernej świetlicy... żadnej ochoty, ani rozpromienionego wesela jak zwykle — chłód przewiał wzdłuż stropów i ścian, a światło weselnych pochodni było stłumione, jakby się przez ciężką mgłę przedzierało.

Jakieś obezwładnienie, gdyby jad narkotyku rozlewało się przykrą ciepłotą w jego żyłach.

Cóż dziwnego?

O trzeciej rano otrzymał rozkaz wymarszu — prawie dwa-

naście godzin konnej jazdy bez wytchnienia — nie czuł zmęczenia, bo rwał się niespokojnie, by widokiem swej ziemi napoić swoje spragnione oczy — zaledwie zdał pułkownikowi raport, zaledwie otrzymał od swoich podwładnych raporty i nakazał spoczynek, wykradł się z obozu, by wreszcie to na jawie ujrzeć, co dniem i nocą w snach snu i snach na jawie w duszy jego dotychczas żyło: ziemię jego... tak! jego! miał już ją raz, utracił, a teraz ją na nowo zdobędzie: krwią własną!

I znowu patrzył i patrzył, a dusza jego pośpinała.

Przypomniawszy sobie, jak jeszcze przed paru miesiącami studiował mapy, jakim szlakiem nieprzyjacieli pójść musi, a zawsze tak wtedy wypadało, że tak, czy owak, musi ziemia jego znaleźć się na terenie operacji wojennych — i nie pomylił się... przypomniał sobie, jakim gorącym żarem rozżagwiała mu się dusza na myśl, iż stanie na ziemi ojców, których wielkie czyny chwilę był przepomniał, a teraz w tysiącrazi sposób winę swoją odpokutować pragnął: wszak był u celu wszystkich swoich najgorętszych tęsknot — wszak teraz rozścieliła się przed jego oczyma ta ziemia, którą miał może już jutro z wścieklej paszczy najzacieklejszego wroga wyrwać i tem swoją najcięższą winę odkupić i wszystek ból w sobie zagoić i wszelką plamę swej duszy własną krwią zmazać — więc czemuż nie odczuwał wobec ziszczenia najśmielszych, niepojętych do niedawna jeszcze nadziei, że stanie na tej swojej ziemi — a, jak obłąkany refren powtarzało się, gubiło i nawracało to bezustannie: jego ziemia! — jakaś uporczywa, maniacka psalmodya, monotony, litaniiny respons — czemuż teraz nie odczuwał już onej radości, onego wesela, onego w krzyż rozciągniętego na zimnych płytach kamiennych posadzki kościelnej, wdzięcznego błogosławieństwa pokutniczego rozgrzeszenia, którego tak gorąco wyczekiwał?!

Tęsknota za Polą, żywym bólem mu dojadła i coraz większą trwogą biło jego serce na myśl, że... że... nie śmiał nawet

o tem myśleć, ale ten ból, ta tęsknota wydała mu się zło przeczuwajacem czemś, co mu siły odejmowało: to jakby upust serdecznej krwi.

Ochłonał: tylko się nie poddawać! Zerwał się z ziemi i tarł czoło.

Tak! otrząsnął się i starał się w swoich myślach wyciągnąć szeroko ramiona do tej ukochanej, wytęsknionej ziemi — teraz poczęły bić dzwony: na trwogę? na powitanie? żałobne, czy weselne?!

Nadsłuchiwał: to w jego duszy jakoweś dzwony były...

Wieża parafialnego kościoła dawno w gruzy się była zwała, z dzwonnicy — już przedtem to widział — ani śladu nie pozostało — białe jeszcze tu i ówdzie małe krzyże na cmentarzu, poza którym widne były przed chwilą jeszcze trzy rzędy okopów strzeleckich wroga.

A nagle jęknęła do samych trzewiów porozrywana, rozkopana, granatami na potworne wadolce przetworzona ziemia, zarzechotała straszliwym skowytom jęków, które mu się wydały potępięnczą gamą przeokropnych krzyków o ratunek, krzyków, które z wycia w śmiech przechodziły — zakołysała się w posadach i jęła się trząść i szamotać jak w konwulsyjnych drgawkach przedśmiertnych. — Janta rozglądał się wokół przerażony, przecierał oczy, czuł, że się zatacza i znowu przytomniał.

— Przemęczenie, to tylko przemęczenie, uśmiechnął się blade.

Uspokajał się dobrotliwie, bo cały dygotał, jak w ciężkiej gorączce, i zwrócił uwagę na głęboki parów — stare widocznie łożysko małej rzeczki, która sobie później inną drogę do jeziora znalazła.

— Aha! roześmiała mu się dusza — w tym parowie ukryje ze stu ludzi z końmi — tam ich artylerya nieprzyjacielska nawet przeczuwać nie będzie — a potem, gdy piechota już się

rzuci na bagnety, wtedy on wściekłą szarżą konnicy... oddychało coś w nim głęboko wielkim tryumfem. —

Liczył: tam za pierwszą połacią pola jeden rów—najslabszy zapewne, tak sobie dla zwabienia — chyba, że puszcza zatomowaną wodę rzeczki... czarnoziem, więc się w błoto zmieni, teren dla koni bardzo utrudniony — trzeba wroga uprzedzić, nie pozwolić mu na tą operację — potem cmentarz i dwa pola, które w tym roku nie są obsiane i stoją ugiorem — tuż za cmentarzem drugi, trzeci i czwarty rów: prawdopodobnie najsilniejsze rowy — tam się nieprzyjaciół najgłębiej zakopał... we wsi samej, — rozważał głęboko położenie każdej chałupy i przypuszczalną możliwość obrony w nich wroga — we wsi samej? Tam już przeważnie wszystko zniszczone, nawet z dworu nic nie pozostało — chybaby jeszcze ogromna, murowana stodoła w tyle, poza dworem, o ile jeszcze zburzoną nie została, mogłaby być ciężką przeszkodą — tam mógłby się doskonale wróg usadowić i bronić...

A wciąż biły w nim dzwony i wołały na ratunek — komu?!... Z wądoców i parowów, koryta rzeczki, poszarpanych jelit ziemi jał się wyczołgiwać upiór, straszliwy, krwią ociekający — wyciągał ku niemu ramiona, trząsł nimi i obchlustywał go krwią.

— Milcz! wrzasnął — zgrzeszyłem, porzuciłem Cię, sprzedałem, ale teraz przyszedłem Ci na ratunek — moją krwią najserdeczniejszą, życiem całam Cię wykupię...

Nie dość Ci tego?!

Skorniała groźna, już już, przekleństwem mająca miotać ziemią jego — umilkła. Tylko z olbrzymich oczodołów, jam głębokich, granatami powyrywanych, ziało ku niemu przeraźliwe, przebolesne spojrzenie, a z tysiąca ran lała się krew bez końca... nie! to nie krew, któraby z wnętrza wypływała, miał to złudzenie, że ziemia pokrywa się płatami krwawiącego się śniegu w coraz to wyżej piętrzących się warstwach...

Jezu, Jezu! jakby przebrnąć przez ten głęboki śnieg krwi?! Jak tą ziemię odgrzebać z pod tej olbrzymiej warstwy śniegu krwi?

Czuł, że gorączkuje, ale równocześnie wiedział, że coś jeszcze spełnić musi, zaczem stąd odejdzie.

Potarł czoło, a nagle padł na kolana, wyciągnął się, jak długi, całował ziemię, wgryzł się w nią zębami, wpił w nią palce swoich rąk, wił się na niej w skurczach szarpiącego go na wsze strony ciężkiego płaczu: ziemia się uspokoiła, oddychała głęboko, krwawić przestała i w jego duszę wlewać się jąła łaska ukojenia i rozgrzeszonej winy — tulił się do macierzystego łona i szeptał miłośnie: krwią moją Cię odkupię i z wrogiej paszczęki wyrwę — najserdeczniejszą krwią moją!...

I było, jakby go dobre, przebaczące ramiona otulały, uczuł w duszy jakoby świetliste łyskanie: kojącą poświęcę głoszących, świetlistych rąk — rąk Poli!

Teraz zwiłkł się z ziemi: jeszcze raz obrzucił oczyma miejsca, gdzie kiedyś złocono się żyto, czerwieniała pszenica, białym kobiercem tatarki rozesłały się zagony wśród pól jęczmienia i owsa, a teraz nic prócz szańców, okopów i rowów — popatrzył w stronę, gdzie ongiś pyszniły się bogate łąki — dwukrotnie odbywało się tu w lecie sianozęcie — dziś nic prócz olbrzymiego kretowiska: dreny z min dynamitowych wydajność ich niezadługo w nieskończoność podnieść miały.

Coraz więcej mroczniało i posępniało w jego duszy. Czuł dobrą, słodką, kojącą poświęcę rąk Poli, ale było to, jakby chciały przed nim ukryć coś złowróżebnego, jakby go chciały milczkiem łagodzącą pieśczętą na coś złego przygotować.

Miał ochotę zawołać na cały głos: Mów mi wszystko! Powiedz mi całą prawdę! ale wraz się opamiętał i z wzrastającym lękiem czuł tylko, że obezwładniająca ciepłota jakiegos

narkotycznego jadu rozłazi się coraz więcej po całym jego ciele.

Ale to pewno tylko to ciężkie przemęczenie!

Czternaście godzin jazdy w tym strasznym upale — a może ten nagły obuch wrażeń, jakie przed chwilą przeżył, gdy wreszcie ujrzał ten święty szmat ziemi — ten, który jutro już może dla Poli i siebie zdobędzie...

Pola! mów mi całą prawdę, zaskowyczało znowu coś w jego duszy.

Dotyk Twych rąk był mocny, silny, krzepiący — czemuż mi tak łagodnie, z taką smutną, cichą pieśczołą duszę głaszczesz? Czemuż nie czuję krzepkiego, wzmacniającego uścisku? Osłabłybyż Twoje ramiona? przygasłby gorący blask Twoich oczu?

Przedzierał się przez gęstwinę młodej dębiny, przez dąbrowę olszyn i kalin na małą polankę, gdzie swoją bułaną Czajkę zostawił. Już zdala przeczuła szlachetna klacz arabska poblizę swego pana: zarżała radośnie.

Podszedł ku niej, odwiązał uzdzenie od pnia drzewa, poklepał ją po szyi — wyciągnęła ku niemu swój długi, wązki, rasowy łeb, ale tym razem nie miał dla niej pieśczoтлиwego słowa, jak zwykle.

Jemu tylko znanymi ścieżkami powracał stępą do obozu.

Wyzwolę Cię ziemio moja — wyzwolę z paszczy Lewiatana, mruczał do siebie — zmyję z mej duszy ciężką winę, żem Cię mógł opuścić, szybko i kochającą ręką zagoję Twoje rany — dziś już Cię na nowo wziąłem w swoje posiadanie, będę chodził dniem i nocą naokoło Ciebie, jak najtroskliwsza matka wokół chorego dziecka, karmić Cię będę najprzedniejszą strawą, uposażę Cię hojniej jeszcze, aniżeli Bóg sam Cię uposażył — własną krwią nasycę Twoje gorączką spieczone wargi, własnymi rękoma włożę w Ciebie kojące środki — wrócisz do zdrowia i sił pełnych i będziesz tą samą, którąś była, piękniejszą jesz-

cze — krzyżem się na Tobie rozłożę w pokutniczej pracy i ciężkim znoju — i znowu mnie pokochasz i przebaczysz synowi Twojemu.

A wszystko przez Pole, córkę Twoją, ziemię moją!

Czerwonem złotem łanów pszenicznych mienią się jej włosy, kryniczna czystość Twoich źródeł przezierną w jej oczach, członki jej silne i giętkie, gdyby pręty wikliny nad brzegiem tej rzeczki która Cię przecina:

Słyszysz ziemię?!

Jej sny, jakby odbicie rzędu srebrnych topól nad Twoim jeziorem, rojenia jej duszy to wzloty ptactwa polnego ku słońcu, które się nad Tobą wzbija i zbożne hejnały wyśpiewuje, głos jej, jakby przesycony tajemniczym Twoim oddechem, jakbyś na jego strunach, gdyby na niebosiężnej harfie Twoje najtajniejsze hymny wyśpiewywała — cieszysz się ziemię?

Ale ziemia tylko raz po raz głucho stęknęła — pewno gdzieś tam wybuchł spóźniony granat—może wstępny akord do jutrzejszej bitwy — zajęczały znowu w jego sercu przeciągłe dzwony — dalekie, złowróżebne — tęk-tęk sygnaturek rozrywał szeroko płynącą falę ich rozbijałych, lękliwych jęków, a wysąsiedziałe choiny i buki i olchy szumiały w ciemności nocy rozpaczynymi zawodami z nad pni przez granaty zwalonymi trupami swoich odwiecznych towarzyszy.

Czajka co chwilę się potykała o jakieś zwalone drzewo, o jakiś dziwnie wyszczerbiony pień, o zwał, jakby ostrą siekierą ściętych gałęzi, o olbrzymie korzenie z ziemi powyrzucane, jakby były jakimś apokaliptycznym pługiem od samego dna powyorywane.

Jakieś ciemne przecucia miały jego duszą, smutne rozhowy prowadziły między sobą osierocone drzewa: siebie samego uczuł jakby świetlistą jakąś postać z szerokimi skrzydłami, krążącą nad wsią jego, której już nie było, wsłuchującą

się w żałobne pacierze zniszczonego lasu, zadumaną nad całą tą jego ziemią, która jak widać i daleka krwią broczyć się zdawała.

Szarpnął się nagle wielką siłą i wyrwał się z uwięzi tych myśli i złowieszczych przeczuć — w duszy rozgościł się tryumf i pewność zwycięstwa.

— Wyswobodzę Cię, moja ziemio, wyzwolę i ulecę, szeptał, szeptał bezustannie z kochającą mocą.

Dojechał wreszcie do swej kwatery.

Był to mały folwark, który przynależał do jego Kruszy.

Znał tu każdą ścieżynę, każdy przegon, każdy skrawek tej ziemi: przeobraziła się wprawdzie doszczętnie, ale on mimo ciemności nie zmylił skrótu, który z lasu prowadził do jedynej ocalałej chałupy, a w której główny sztab się rozgościł.

Na ganku stało kilku ordynansów — podał jednemu z nich uździenice Czajki, a sam wszedł do dość przestronnej izby.

A była w nim moc i pewność zwycięstwa.

Przy stole, zbitym z paru desek, leżących na co dopiero sporządzonych krokwiach, siedział pułkownik Ponikło i paru oficerów.

Jeden z oficerów przysunął Jancie stołek, Janta siadł ciężko znużony, ale był jakby gorączką podniecony. W oczach jarzył się ponury prawie ogień nieodwołalnych postanowień.

— Przyszedłem tu z planem, rozpoczął po chwili, dla którego proszę o aprobatę sztabu, a za pewne zwycięstwo ręczę.

Oficerowie spojrzeli po sobie: nawet mowy być o tem nie mogło, by mózgi wyrzucić nieprzyjaciela z jego niesłychanie silnych warownych okopów.

Janta spostrzegł błyski niedowierzania w ich oczach.

— Otóż ta ziemia, na cztery, czy pięć kilometrów kwadratowych, na których się już od tygodni straszny bój bez najmniejszego skutku toczy, to ziemia, której spory kawał przed rokiem jeszcze do mnie przynależał. Urodziłem się tu — znam

tu każdą ścieżkę, każdy przegon, wiem, gdzie nieprzyjaciół najsilniej się okopał, gdzie nam przygotował zasadzki i niespodzianki, zdaje sobie jak najdokładniej sprawę, a nawet mogę Wam powiedzieć, w którym miejscu jego zamaskowana bateria z konieczności bezwarunkowo znajdować się musi.

Na stole leżała rozpostarta mapa sztabu.

Janta się podniósł i drżącym palcem wskazywał na mapę:

— Tu są resztki starych szaniec z czasów najazdu szwedzkiego — tu ztąd aż do jeziora ciągnął zagajnik — nieprzyjaciół go prawdopodobnie wyciął, by Was zmylić, przetransportował go tu na lewo, i wskutek tego fortelu wprowadził w błąd naszą baterię — bateria wroga nie jest maskowana tym zagajnikiem, ale tymi na pozór niewinnymi szaniami.

Oficerowie wpatrywali się teraz z wzrastającą uwagą w mapę, na całym stole rozłożoną.

Ponikło słuchał natężenie wywodów Janty.

— Te rowy, tu wprost, naprzeciw — Janta gorączkował się coraz więcej — są tylko pozornie silne — grunt tam, to miłki piasek z podskórną wodą — za tymi rowami znowu jakiś kawał tak kamienisty, że tam kopać nie mogli — ich najsilniejsze rowy, i prawie nie do zdobycia, rozpoczynają się dopiero poza tym kamienistym skrawkiem i przytykają w skośnej linii do dwóch pierwszych.

Nastąpiła głęboka cisza.

— Z naszej strony ciągnie aż blisko pod te skośne rowy głęboki parów — zauważyłem dziś, że jego gąszcz mało co przerzedzony — w tym parowie ukryję swoich ułanów — artyleria przysposobi wypad z rowów naszej piechocie, a resztę biorę na siebie. Rzucę się z moimi ludźmi na skośne rowy, weźmiemy nieprzyjaciela w obcęg i wrzucimy go w jezioro!...

Rozejrzał się z tryumfalnym, gorączkującym uśmiechem po obecnych.

Ponikło zmarszczył surowe czoło.

— A ile rotmistrzowi pozostało z całego szwadronu?

— Ośmdziesięciu paru najwyborowszego żołnierza — reszta padła w Karpatach — a czym dla jazdy Karpaty były o tem pan pułkownik najlepiej wie.

— Gdybym miał kaszkiet na głowie, zdjąłbym go teraz z najgłębszą czcią.

Janty twarz promieniała zwyciężkim tryumfem.

— Nieprzyjaciół — ciągnął w febrycznym podnieceniu — będzie czekał na atak naszej piechoty, cały swój ogień na nią skieruje — ja tymczasem wypadnę huraganem z moimi ludźmi z parowu, — zaczem nieprzyjaciół się spostrzeże, będzie nasza piechota przy pierwszym rowie a ja już tymczasem zdobędę te skośne — i... i ziemia moja będzie wolna i naszym będzie zwycięstwo — odrzucimy jednym rozmachem połowę wroga na kilkanaście mil, a drugą w jeziorze potopimy.

I znowu zapanowała wielka cisza.

Janta siadł na stołku i był szczęśliwy, że już wszystko wypowiedział — czekał już tylko rozkazu.

— Tylko się spieszyć trzeba, rzucił po chwili odruchowo przez zęby, bo zdawało mu się, że już parę godzin upłynęło tego straszliwego wyczekującego namysłu Ponikły i wlepił trawione gorączką oczy w twarz pułkownika.

Chciałby ją widzieć rozgorączkowaną, rozpromienioną, pełnością zwycięstwa palającą, a ujrzał ją zimną, twardą i w głębokim namyśle skupioną.

— Olbrzymie ofiary, bąknął wreszcie Ponikło.

— Ale okupią może miesięczny jeszcze, bezcelowy postój na tem samem miejscu, szarpnął się Janta, lecz w tej chwili powstał salutując, pomny karności żołnierskiej i znowu siadł, jako, że nogi pod nim drżały.

— Pan, panie rotmistrzu przemęczony — siwe oczy Ponikły wświdrowały się aż w dno duszy Janty.

Janta był w takim podnieceniu, że z trudem się opanowy-

wał. Chciał krzyczeć na cały głos, że to ich ziemia, Poli i jego, że on musi krwią swą zmasać najstraszniejszą zbrodnię, jaką mógł popełnić, zaprzepaszcżając tę ziemię ojców i praojców, że musi dotrzymać przysięgi, danej tej ziemi, iż ją z paszczęki wroga wyrwie i z ran ją wyleczy, chciał krzyczeć, że jeżeli mu żołnierzy nie dadzą, to sam jeden z gołemi pięściami na wroga się rzuci, ale zimny, rozkazujący wzrok pułkownika trzymał na uwięzi rozszalały rozmach jego duszy.

Spotniał tylko i skurczył się w sobie.

— Panie pułkowniku, szepnął błagalnie i pokornie, ja jestem pewien zwycięstwa.

Ponikło zdawał się jego słów nie słyszeć — tylko ręka jego drżała, gdy wodził wązkim, długim palcem po mapie.

— Jeżeli bateria nieprzyjacielska istotnie tam się znajduje, gdzie pan, przypuszczasz, to jest nadzieja, że tym razem... ale tylko z bohaterską — i lękam się, niebawem ofiarną pomocą ataku ułanów pozycję wroga przeforsujemy.

Jakby tknięty prądem elektrycznym zerwał się Janta ze stołka.

Ponikło wyciągnął ku niemu rękę, którą teraz Janta ucałować pragnął, ale się tylko nad nią z głęboką czcią pochylił.

— Sprowadź Pan swoich ułanów cichaczem w parów — tak ich zresztą zręcznie Pan tu przyprowadziłeś, że nieprzyjaciel ich obecności nawet nie przypuszcza, a jutro o szóstej rano przyśle Panu dalsze rozkazy.

Janta pokłonił się głęboko na wszystkie strony i wyszedł.

Przystanął przed chałupą, oszołomiony wielkiem szczęściem, ale już mu konia podano: wsiadł na niego, pogłaskał Czajkę po karku:

— Jutro! Jutro! szepnął jej do ucha.

A zwierzę, jakby go zrozumiało, zarżało radośnie i pognało z wichrem w zawody kilka kilometrów za wieś, gdzie ułani Janty stali kwaterą.

Tej samej nocy w najgłębszej ciszy i z niebywałą ostrożnością zsunęli się ludzie Janty w parów.

* * *

Od samego świtu ryczały najsilniejsze działa artylerii Po-
nikły. Powietrze wyło ogłuszającymi grzmotami, rozdzierane
na strzępy przez olbrzymie granaty, ale Janta nie słyszał huku
nie słyszał łoskotu ani trzasku walących się drzew w pobliskim
lasku — jedną myślą tylko był opętany, by dotrzymać swej
ziemi danej przysięgi, na nowo tu z Polą nowe życie roz-
począć.

Hej! hej! Pola! Okrzyk jego bojowy, tarcz, o którą najlep-
sza stał w kawałki pryskała, kule, które pancerne płyty prze-
bijały, po niej, jak groch spadały — Pola: wola jego i moc!

— A jednak co chwilę mgła zasnuwała mu oczy, w uszach,
w sercu rozkołysały się jakoweś upiorne dzwony, a w skroni
jakby świergot ptasząt szybciej i coraz szybciej wybijały sy-
gnaturki lekliwie tink-tank.

Ale wraz jakby się jakaś nowa, potężna fala odrodczych sił
w nim rozlała: cały zadrżał, zatrzęsł się wielkim tryumfem:
nadśłuchiwał wyteżenie.

Bateria nieprzyjacielska coraz rzadziej i słabiej odpo-
wiała:

— Wynaleźli ją nasi — nie pomyliłem się! Chwilę jeszcze,
a umilknie, szepnął do ucha stojącemu obok adjutantowi swo-
jemu.

— Kto? co?

— Nasi wymacali baterię nieprzyjacielską.

Adjutantowi oczy się roziskrzyły głęboką radością.

O parę kroków od nich buchnął granat, obłokiem piasku ich
zasypał.

— To chyba już ostatni! zaśmiał się Janta.

I w tej samej chwili przypadł ordynans.

Janta przeczytał kartkę:

— Na koń! rzucił adjutantowi.

Janta dosiadł Czajki. Ale szlachetne zwierzę, jakby coś przeczowało, nie mogło ustać na miejscu, rzucało się niespokojnie w bok, jęło tańczyć wokół, Janta ją dobrotliwie uspokajał:

— Nie bój się Czajka — nie bój! jedziemy na zwycięstwo — ziemię naszą zdobędziemy — ty mi dopomożesz!

Głaskał ją i klepał po karku, a w miarę, jak cały tężał ogromnym kamiennym spokojem, koń pokorniał i stał się potulny.

Janta obejrzał się za siebie:

Oczy jego ludzi pożądliwszą jeszcze mocą zwycięstwa się jarzyły, jak zwykle, a serca ich gwałtowniejszą niecierpliwością rwały się na krwawy taniec. Zwartą gromadą siedzieli jego ułani na koniach w sprawnym ordynku w czwórkach, bo szeroki parów dozwalał na wygodne rozwinięcie szeregów.

Tak dobrze — tak — to pewne zwycięstwo — Poło raduj się! zawrócił swą Czajkę, stanął w strzemionach:

— Naprzód chłopcy: Musimy zwyciężyć! huknął.

— Zwyciężymy!

Janta jął wyprowadzać resztki swego, w Karpatach silnie poharatanego szwadronu z parowu na otwarte pole.

Przy wylocie parów coraz więcej się rozszerzał, tak, że po piętnaście koni obok siebie stać mogło — szeregi coraz swobodniej się rozwijały.

Słyszeli nad sobą skowyt wybuchających w powietrzu granatów, przeraźliwy poświst szrapnelów: jeden nieustający, upiorny dwój-głos, ale zbyt byli do tej monotonnej muzyki przyzwyczajeni, by zwracać na nią choćby najdrobniejszą uwagę.

— Trzeci pluton pozostanie w rezerwie; zakomenderował Janta — pierwszy i drugi za mną! spiął konia, szablą wskazał

kierunek: w okamgnieniu rozwinął się zastęp sześćdziesięciu ludzi w szyku bojowym i rozszałała burzą rzucił się ku okopom nieprzyjaciela.

Z boku szeroką linią, w czterech po sobie następujących szeregach pędziła już piechota z najeżonymi bagnetami do ataku i na nią, cały morderczy ogień karabinów maszynowych wroga był skierowany: nieprzyjaciel widocznie nieprzeczuwał obecności konnicy polskiej.

— Naprzód! wołał gromkim głosem Janta i tracił coraz więcej poczucie siebie samego — nie wiedział już teraz, czy wogóle istnieje, nic nie słyszał tylko oczy jeszcze były dla jawy otwarte.

— I tylko szablą bezustannie wskazywał kierunek, przegiał się przez kark Czajki i pędził w oszalałym pędzie naprzód.

I tylko wiatr świszczwał w uszach, konie brzuchami zdawały się ziemi dotykać, a z pod ich kopyt porozrywana ziemia obłokiem w górę się wzbija — jednym dzikim rozmachem przesadzili wysuszone łożysko małej rzeczki, której nieprzyjaciel nie zdążył jeszcze spuścić, przewalili się huraganem przez miejsce, w którym pierwszy skośny rów przylegał do poprzecznego i dopadli do pierwszego rowu, w którym nieprzyjaciel zasłonięty pierwszymi rowami poprzecznymi, zdobywanymi teraz przez polską piechotę, czuł się na razie bezpiecznym.

Tym nagłym atakiem ułanów wróg był tak zaskoczony i tak docna oszołomiony, że żołnierze zgłupiałemi, wybałuszonymi od przestachu ślepiami porzucali broń i ręce do góry wyciągali: upiór, któryby się był nagle zjawił, nie mógłby ich więcej przestraszyć, jak ten szatański, niespodziewany atak.

— Naprzód! zacharczał Janta i w więcej jeszcze rozjuszonym rozpędzie, pijani zapachem krwi i tryumfu rzucili się na drugi rów.

Tu już ich powitano jedną, drugą i trzecią morderczą salwą wystrzałów. Obok na lewo i na prawo wspinały się i dęba sta-

wały ranione konie, rzucały się w bok i wywracały się na grzbiecie, powalając jeźdźców pod sobą, Janta widział, jak obok oficer Kubik rozkrzyżował nagle ramiona, ugodzony śmiertelną kulą i zwałił się z konia, tam znowu włóczył oszalały ogier swego pana w opętanym pościgu przez pole — za sobą obejrzawszy się, widział, jak w migawce, zwalających się pokotem z koni swych ludzi, wierzgające w powietrzu kopyta końskie, ale już teraz nic nie odczuwał — widzący oślepl w oszalałym pragnieniu zwycięstwa, słyszający głuchł na jęki, na przedśmierne krzyki o ratunek, na chrapanie, rżenie, wrzask i ryk, w jakim się życie z śmiercią zмага: cóż go to teraz obchodziło: świętszymi ślubami był związany nad ten, który go z jego ludźmi wiąże!

Pierwszy dopadł drugiego rowu, a za nim zważyło się kilkadziesięciu jego towarzyszy.

— Poddać się! ryknął olbrzymim głosem i tu przerażeni żołdaci jęli rzucać broń i wyciągać ręce w górę.

Teraz już tylko trzeci i najsilniejszy rów.

— Naprzód! krzyczał Janta i obejrzał się poza siebie — za ledwie połowa mu towarzyszyła — on terazby w samotrzeć jeszcze parę takich rowów zdobył — ujrzał nagle na odstęp długości końskiej młodego oficera — szarpnął Czajkę, wyrównał się z nim:

— Władek — gdybym teraz miał paść, to obejmij komendę i rżnij na prawo! Tam poza zburzonym pałacem zabudowania dworskie — tam wróg z pewnością w zasadzce — zajedziesz mu tyły, tego się nie spodziewają — zniesiesz go doszczętnie i zwycięstwo będzie pełne...

Oficer zasalutował.

— Zrozumiałeś?

— Rozumiem!

— Naprzód! krzyczał Janta bezpamiętnie, ale, jakby

w świetlistej mgle był Polę ujrzał, chwilę zesłabł, ale wraz wyprężył się w strzemionach, wskazał szablą kierunek:

Pola! coś się w nim rozkrzyczało i znowu posłyszał jakoś dzwony złowieszcze...

Ale nie miał czasu na dalsze myślenie, — na słuchanie — teraz ten rów jeszcze tylko: A ślubów dokona!

Nieprzyjacieli miał czas oprzytomnieć.

Stary oficer rosyjski w trzecim rowie spokojnie obliczał siłę konnicy polskiej, która w tym opętańczym rozpędzie wydawała mu się z początku być jakąś niesłychaną, przepotęzną nawałnicą żywiołową — a teraz z bliska okazała się garścią kilkudziesięciu szaleńców.

Ślepie oficera rozjarzyły się podziwem i zachwytem:

— *Wot geroje!* wyrwało mu się z pod serca, a równocześnie zakomenderował:

— Pal!

Salwa stu pięćdziesięciu karabinów rozerwała powietrze raz drugi i szósty w krótkich odstępach — opętany szaleństwem szeregi ułanów wygiął się, rozerwał się tu i ówdzie — konie zwały się na siebie: tworzyły się poplątane wały wijących się w przedśmiertelnych konwulsjach ciał końskich i ludzkich, dziwnie z sobą poplątanych — tu i ówdzie coraz gęściej wylatywali śmiertelnie ranni jeźdźcy z siodła, trатовani jeszcze przez własnych towarzyszy — całe powietrze rżało obląkanem Hura! a Janta jakby w niebo wrastał niehumaną mocą, krzyczał, stojąc w strzemionach, zwrócony ku swoim — straszny, potężny, wniebowzięty:

— Naprzód! Jeszcze sto, jeszcze pięćdziesiąt kroków, krzyczał niehumanym głosem... Zwycięstwo! Moja ziemia! moja!

— *Wot geroje!* mamrotał stary nieprzyjacielski oficer i z zimnym kamiennym spokojem mierzył swoim rewolwerem w Jantę.

— Wspanialszego orderu dostać nie mogę, jak gdy go po-

wale! pomyślał i celował z wielkiem skupieniem całej swej uwagi.

Jedna jeszcze chwila niehumanicznego, niepojętego wysiłku: Janta na przodzie swych ułanów wpadł do trzeciego rowu.

— *Wot geroje!* Oficer wystrzelił raz, drugi i trzeci: Janta skręcił się na siodle, wyprostował się, rozkrzyżował ramiona—jeszcze się rzucił naprzód:

— Władek, teraz za stodoły! zwał się z konia.

Rzucono mu się na ratunek.

Zerwał się nadludzkim wysiłkiem, dźwignął się na kolana:

— Powiedz żonie, żem ja naszą ziemię zdobył... zacharczał, a potem nagle wyzwoliła się jego dusza w strasznym okrzyku: Naprzód! Władek! Padł, krwią się ochlustał, zarył się pazurami w ziemię, przywarł do niej twarzą:

— Pola! szepnął, chwilę jeszcze się skręcił i skonał.

Trzeci rów się poddał — i stary, ciężko ranny oficer, wzięty w niewolę, oddał swoją szablę, potem zatoczył się w stronę, gdzie Janta martwy zarył się w ziemię rowu, przykląkł obok niego:

— *Wot geroj!* szeptał i omdlał.

* * *

Koń był cały pianą pokryty, drżał i trząsł się na nogach, gdy wierny Władek, adjutant Janty, dopadł do szpitala obozowego, w którym żona Janty spełniała ciężkie obowiązki pielęgniarki.

W głowie mu kotłowało: w żaden sposób nie mógł pojąć, jak zdoła spełnić zadanie, które mu Janta porucił: widział Polę przed sobą, jak się słała, jak będzie na niego patrzyła obłądnymi oczyma, bo przecież nie zrozumie, iż mąż jej poległ — jak jej to powiedzieć?

Ależ to pewno bohaterska niewiasta, pomyślał — aż nadto dobrze znał straszliwie wyczerpujące obowiązki samarytanek

szpitalnych, wiedział jakiego hartu, jakiej ofiarności i zaparcia się siebie potrzeba, by móżdż im podolać, więc zniesie ten straszny cios — Bogu — Ojczyźnie na ofiarę!

Spochmurniał nagle i zaciął zęby:

— No i cóż, pomyślał — cóż znaczy to biedne osobiste szczęście, ten biedny, choćby najsroższy ból osobisty? Tam na cmentarzu przy kościółku w Kruszy kopią teraz groby dla trzydziestu sześciu chrobrych ułanów, którzy wraz z Jantą okupili wielki szmat ziemi, którzy śmiercią swą przenajświętszą — Władek mimowoli zdjął kołpak z głowy — przypieczętowali ogromne zwycięstwo: więc cóż tu waży ból niewieści nad śmiercią męża-bohatera?

Kazał się prowadzić do lekarza, zarządzającego szpitalem.

Lekarz wybiegł mu naprzeciw:

— Zdumiewające zwycięstwo! wykrzyknął rozpromieniony na prog.

— Janta je swą śmiercią okupił.

— Janta padł? Lekarz patrzył zdumiony na Władka.

— Padł! przyjeżdżam właśnie, by jego żonie ostatnie jego słowa zlecić.

Lekarz przybladł.

— Dziwne rzeczy się dzieją... już ona tych ostatnich słów nie posłyszy... ujął Władka za klapę od mundura i szepnął mu prawie do ucha dziwnie uroczyście i tajemniczo — to był ostatni granat nieprzyjacielski, ale celny — trzech ciężko rannych i siostrę Polę, która właśnie nad nimi czuwała, śmiertelnie ugodził.

— Żona Janty nie żyje? pytał Władek, zatoczył się zdumiony i potarł czoło...

— Siostra Pola nie żyje! Dziś rano zmarła...

P O J E D N A N I E.

Mimo śmiertelne znużenie, a może właśnie wskutek niego, Nieczuja nie mógł zasnąć.

Przez pięć godzin szturmował nieprzyjaciół pozycję, którą według rozkazu głównego sztabu oddział trzystu ludzi miał za wszelką cenę utrzymać.

Na wysokim wzgórzu stały ruiny starego zamku — jedna baszta jeszcze w doskonałym stanie — jeden mur na jakie sto kroków z jednej strony przylegający, jeszcze jako tako zachowany — z drugiej stroma ściana, na kilka metrów gruba, warowna, ale już silnie zniszczona: to forteca komendanta Ponikły, którą miał z swoją garścią ludzi przeciwko przemożnemu nieprzyjacielowi utrzymać.

Poniżej z tyłu pozostały jeszcze szczątki murów dawnych obwarowań — teraz służyły za kryjówkę dla trenu i za plac do opatrunku dla łżej rannych, bo, aby móżdż ciężko rannych wywlec z pod gradu kul nieprzyjacielskich, które przez pięć godzin ulewą oberwały się nad placem boju, o tem nawet marzyć nie było można.

Całe wzgórze zasiane były trupami — wyścielony nimi był wąwóz głęboko w dole, a stroma ściana przeciwnego wzgórza, na którym teraz spoczywała śmiercionośna bateria nieprzyjacielska, służyła dziesiątkom za rozkoszne podścielisko do wiecznego snu.

W dawniejszym podworcu zamkowym, który się widocznie wskutek zapadnięcia piwnic tak głęboko osunął, że stojący w dole za ledwie głową fundamentu murów mógł dosięgnąć, spoczywał pokotem po krwawym znoju bohaterski batalion

młodego żołnierza, który zdołał w niwecz obrócić wściekle zakusy nieprzyjaciela, by tą nędzną rudere zdobyć.

Niebo było wygwieżdzone bez jednej chmurki. Co chwile tylko przelewały się ogromnemi strugami lejącego się roztopu złota, ciche błyskawice, wieszczące upalny czas i nowy, krwawszy jeszcze znój.

Dziwnie tajemnicze i dziwnie przerażające były te ogniste szerokie strumienie błyskawic, które co chwila ciemny, nieprawdopodobnie uroczyście wygwieżdżony firmament rozrywały.

Jak kto dopadł w nieludzkiem przemęczeniu na ziemi, gdy już bój ustał, tak spoczął.

Jeden wywrócony w znak, inny jakby się chciał sam w siebie wwinąć, tam znowu leżał ktoś krzyżem, jakby straszną pokutę miał odbywać, innemu zasię zwisał z ust ledwo co zapalony papieros — byli i tacy, którzy już sił nie mieli ani munduru rozpiąć, ani szabli odpasać, ci zaś objęli karabiny, gdyby najśłodsza kochankę, a i tacy, którzy, zmożeni snem nie zdążyli się wyciągnąć — siedzieli w kabłak, z głową między kolana wtuloną.

Jeden tylko Nieczuja usnąć nie mógł.

Czuł takie straszliwe napięcie nerwów, iż zdawało mu się, iż się przez skórę przedarły i teraz nagle z szeroko rozwartemi usty wsysają w siebie wszechświat cały: tajemnice roztopów błyskawic, które się poprzez ciche, spiące niebo przelewały, tajemnice milczenia wawozu i kotliny tam w dole i przyczajonej grozy przeciwległego nieprzyjacielskiego wzgórza z jego chytą, podstępna, straszniejszych jeszcze zniszczeń przeobfita chucia!

Wszystko spało naokoło. Tylko raz po raz doleciało go jakieś rżenie konających, chrapanie przemęczonych, szelesty bacnych, cichych wartowników, ale to mu się pewno tylko zdawało...

Zbyt przywykł do codziennego rozgiełku, krzyku, wrzasku, by był w tej świętej chwili w stanie objąć ogrom tego straszego milczenia, które nad tem krwawem polem zaległo.

Snąć był niegodzien tej wielkiej uroczystej chwili, którą dano mu było odczuć przed paru godzinami za ledwie, gdy mu komendant oddał lunetę i pobiął rozdawać rozkazy.

Wtedy zaległa cisza Podniesienia w jego duszy mimo piekielnego rozgiełku bitwy, wrzasku armat, zacieklej ziapaniny karabinów maszynowych, ogłuszającego wycia granatów.

Teraz spodziewał się, że po każdej błyskawicy nastąpi ogłuszający grzmot, że najdrobniejszy szelest: to wszystko miazdzący, nowy atak nieprzyjaciela, że przemęczone chrapanie towarzysza, to szatański ryk szrapnela, rozdzierający powietrze.

Zawstydził się i głębiej jeszcze zapatrzył się w niebo, rozorywane bezustannie potokami ognia i uroczyściej jeszcze wpatrzył się w straszną tajemnicę Jutra, która go znowu całym piekłem nowych męczarni straszyć poczęła.

Nie! nie! Miał to wrażenie, że udało mu się znowu pochwycić korzeń rozwichrzonych nerwów, szalejących w dzikich poświstach na wszystkie strony, jakby się rozbiedz chciały, gdyby tabun rozszałałych koni przed huraganem ognia palącego się stepu — tak! jak jeszcze przed paru godzinami...

Och! jak to było?!

Stał obok Ponikły, który z spokojem przecierał zamglone szkła swojej lunety.

Rozległ się piekielny grzmot. Granat wyrwał na samym wierzchu kawał muru z baszty: sypnęła się chmura na proch zdruzgotanych cegieł — jakiś żołnierz obok jęknął: jedna cała cegła zwała mu się na grzbiet — to nic! to nic! bełkotał, uśmiechnął się blade i runął na ziemię.

— Muszę pójść na lewe skrzydło — Pan tymczasem pilnie obserwuj każdy ruch nieprzyjaciela...

W tej samej chwili wściekły ryk granatu... Zrobił nowy wyłom w murze — w szerokim łuku rozsypały się wokół poprzez do ziemi przykucniętych żołnierzy gruz i cegły...

— Kiepsko celują, mruknął Ponikło i poszedł dalej — radzę Panu przykucnąć, powiedział jeszcze — Pan stojący, zbyt dobrym celem.

Nie posłuchał rady... Nie myślał o niebezpieczeństwie — stał i patrzył, bo była weń wstąpiła jakaś wielka, święta, bezbrzeżna cisza...

Ogarnął okiem cały horyzont — wąską dolinę w dole, zwołna wspinające się wzgórza naprzeciw — cały ten teren lekko pofałdowany, tu i ówdzie stroma ściana, stercząca nad wygiętą linią grzbietu — a kiedy tak patrzył i patrzył, kiedy widział mnóstwo wznak wywróconych trupów, zwałonych bagnetem z wzgórza w dół, innych w krzyż rozłożonych, jakby w świętą ziemię się wgrzebywali, innych zaśię wkułonych w siebie gdyby jeże, gdy się na nie nastąpi — kiedy ujrzał, jak się z zbitego stosowiska trupów, splątanych, zda się, w jedno potworne cielsko, wyczołgiwał raz po raz człowiek-pokraka, który w worku swej poszarpanej poharatanej skóry dźwigał z ciężkim trudem porwane mięśnie, potrzaskane kości — gdy tak patrzył na te gęsto trupami zasiane wzwyż i kotlinę, nad którą się wspinały, stało się w nim coś niepojętego...

Patrzył spokojnie — bez najmniejszego wzruszenia — jakby patrzył na rój walczących z sobą mrówek — patrzył obojętnie na to piekielne żniwo ludzkiej zaciekłości i nieludzkiego gniewu i tytanicznych, rozpasanych szalów, rozjuszonych zmagających się — wygasło w nim doszczętnie uczucie jakiegoś osobistego niebezpieczeństwa i nic nie pozostało w jego duszy, jak tylko uczucie bezgranicznego zdziwienia...

A — a... a! Więc to jest życie ludzkie — jego cel i Przeznaczenie?!

Przedarł się poza front, kładący się pokosem pod celnym

gradem kul swoich towarzyszy i spojrzął za kulisy, odgraniczające życie jednostki od śmierci jego.

Było, jakby to wszystko, co wokół niego się rozgrywało, wcale nie On widział — On! śmieszne, że sobie w tej chwili swoje nazwisko przypomnąć musiał — on Nieczuja: jego własne Ja zapadło się w bezdennej czeluści czegoś, co całkiem do niego nie przynależało — co obejmowało, schłaniało ich wszystkich tu razem — ten mały na zagładę wydany batalion — nie! głupstwo! całe regimenty, całe dywizye, naród cały.... Tu nie stała jednostka przeciw jednostce — to były dwie przepotężne wole dwóch narodów, które w tytanicznych zapasach się z sobą zmagaly, dwie wole, które, co najszlachetniejszego tu i tam w narodzie żyło, do życia w tej zacieklej walce powoływały...

— Schył Pan łeb do stu piorunów, wszystkie kule na pana lecą! słyszał jakiś pioronujący głos za sobą.

Przykucnął, pomacał się: kula kawałek ucha mu oderwała.

— Daj Pan lunetę — towarzysz Pana opatrzy...

Machnął ręką, ale rozkazu nie posłuchał: całą duszę wepchnął teraz w szkła lunety — wyteżył w trójnasób siłę swego wzroku.

Tam w dole coś zdumiewającego się działo!

Linia nieprzyjaciela się wygięła — tu i ówdzie powstawały luki, ale w tej chwili wypełniane zostawały. Nieprzyjaciel zasypywał nędzną forteczkę ulewą kul, a gdzie tylko atak jął słabnąć, pojawiał się kapitan na czarnym, dzikim ogierze, wywijał szablą, zagrzewał szeregi, pędził je naprzód, objeżdżał je z tyłu i z boku: był wolą i duszą tych wszystkich, którzy się darli pod górę, by garstce obrońców krwawe wesele sprawić.

Nieczuja zapalił się tym widokiem: toż to właśnie, że jednostka zdołała się wywlec z ciasnej nory egoistycznych pragnień, użycia, dostatku, lęku przed śmiercią, że zdoła zapom-

nieć o życiu, jego rozkoszach, cierpieniach, ponętach, że zrywa więzy, pętające ją z rodziną, dziećmi, żoną, kochanką, że wzmo-
gła się na największe poświęcenie, do jakiego człowiek dorość
może: wyzbycie się swej odrębnej osobowości i zlania się
w oceanie jednego jedyne- go Ja, jakie naród stanowi, znaczy
każdego z nas znamieniem najwyższego człowieczeństwa....

— Godzien jesteś mej kuli!

Wyrwał karabin obok przykucniętemu żołnierzowi — uło-
żył obok siebie starannie lunetę, wymierzył: stał się jednym
wyteżonem okiem, a raczej zrósł się z karabinem, tak, że mar-
twa lufa ożyła i stała się żywym organem.

I z tego zapalczywego lufy-oka padł jeden strzał po dru-
gim. Czarny ogień stanął dęba, zawierzgał przednimi kopytami
w górze — zwałił się na ziemię... z pod jego cielska wyszarpy-
wał się z piekielnej uwięzi kapitan — podrzucał się w nadludz-
kim wysiłku z pod konia, ale w tej samej chwili głowa jego,
trafiona drugą kulą Nieczui zwiśła — z obezwładnionych rąk
wypadła szpada — żołnierze rzucili się martwemu kapitanowi
na pomoc: jeden targał daremnie konia za uździenicę — dwóch
starało się wyciągnąć obezwładniałe ciało kapitana z pod cięż-
aru zdychającego bachmata.

Nieczuja oddał karabin żołnierzowi.

— Teraz masz dobry cel — powiedział i przyłożył lunetę
do oczu.

Przez ostre szkła widział onego srogiego kapitana, wolę
i duszę szeregów, które pędził w świętem zaparciu się siebie
pod górę, by dokonać wolę świętego Zakonu, który ludziom na-
wzajem wymordowywać się każe...

Uśmiechnął się.

Jutro za Tobą podążę — może dziś jeszcze...

Czem Ty? Czem Ja?!

Jedną, jedyną, mikroskopijnie maleńką komórką w tem ol-
brzymiem, szlachetnem ciele Narodu, do którego przynależał—

czemże śmierć jego, czemu moja? Niewidzialnym, niedostrzegalnym zanikiem maluteńkiej komórki, którą jeszcze, zaczęła zniknąć zdołała — już świeższa i żywotniejsza zastępuje....

Czemże krew wszystka jego, która teraz w gwałtownych pulsach gorączki przelewa się przez jego ciało i wstrząsa nim bezustannymi dreszczami? Przecież niczem więcej, jak tylko jednym mikroskopijnym ciałkiem w krwi całego narodu — i cóż z tego, jeżeli w kwintilionach miliardów ciałek tej krwi to jedno zaniknie?

— Pal! A szcędź naboje! — rzekł do młodego żołnierza, który obok klęczał i przypatrywał się bitwie jakby w jakimś upojonem wniebowzięciu.

— Pal! Czego czekasz?!

Chłopak ocknął się i jakby się nagle w kogoś innego przedzierzgnął:

Twarz mu skamieniała, nabrała zimnego, krwiożerczego wyrazu.

Mierzył spokojnie, jak gdyby nadziewał nitkę w uszko igły i w garść ludzi, którzy w heroicznym wysiłku pragnęli wydzwignąć swego kapitana z piekła bitwy, szła jedna linia po drugiej, niezmordowana, druzgocąca z lufy karabinu już nie człowieka, ale precezyjnego automatu.

Już jeden zwał się na twarz i zakrył sobą martwe ciało ubiegłej duszy szturmujących, drugi padł wznak, stoczył się z pochyłości w dół i zawisł, gdyby łachman na wystającym krzaku — trzeci puścił nagle uździenice, które napróżno tarmosił krwią żygającego bachmata, ugiął się w kolanach, rozczapierzył ramiona, załopotał nimi w powietrzu i zwał się twarzą na krwią obroczoną szyję konia.

— Doskonale! — pochwalił Nieczuja.

Chłopakowi rozpromieniła się twarz w rozlunionem uniesieniu zapomniał teraz o całym świecie: jego oko rosło, potężniało, potrzebowało szerszego widnokregu — wyprosto-

wał się nagle: ot! teraz tam, gdzie oficerska szabla stała w górę błysnęła: to oficer, który po poległym kapitanie objął dowództwo — tam! tam! Wspiął się na palcach, zmierzył i w tej samej chwili zniknęła szabla, okręciło się w górze wokół siebie ciało oficera i padło bezwładnie na ziemię.

— W samą wątrobę — zaśmiał się chłopak.

— Schowaj łeb — ryknął Nieczuja i w tej samej chwili świsnęła kula, zerwała mu kaszkiet z głowy, poczuł jakieś gorąco wzdłuż ramienia — padł na ziemię instynktownie i wraz zwałił się obok niego martwą kłodą młody chłopak.

— Dziś jeszcze będziesz w raju — szepnął Nieczuja — może zemną razem...

I tak w gorączkowej wizyi, stokroć potężniejszej i rzeczywistszej od wszelakiej istotnej rzeczywistości, przeżywał Nieczuja każdy moment morderczej walki, setki poruszeń, które się na jawie w jeden ruch zlewały, rozczłonkowywały się teraz w chorym jego mózgu na pojedyncze, dla siebie istniejące momenty, myśli, które błyskawicznym, zaledwie świadomością dające się uchwycić, pędem podczas walki w mózgu jego się wicherzyły, nabierały teraz przerażającej wypukłości, kojarzyły się w szerokie, patetyczne okresy i coraz szerszymi kręgami i coraz wolniej i faliściej rozlewały się naokoło tego pytania: czem w całym tym niepojętym zamęcie, tej piekielnej burzy, która zdawała się ziemię z posad wyrwać i fundament niebios trząść — czem jego śmieszne, głupie Ja!?

Czemże wola jego? Przecież niczem więcej, jak tylko jedynym atomem w przeolbrzymiej masie gazu, której za ciasno w kotle, w jaki wtłoczona została i nagle w gniewnem napięciu ściany jego rozwała?

A byt cały jego? Chyba niczem więcej, jak cieniuteńką niewidzialną niteczką w olbrzymiej masie mięśni tego potężnego cielska, które w dzikim gniewie wściekłymi pięściami broni swych świętych praw!

Uroczyście i pokornie tem przeświadczeniem maluczkości swego Ja. Śmiesznym i ordynarnym wydał mu się lęk przed śmiercią, lęk niedostrzegalnej komórki, jednego mikroskopijnego ciała krwi, chimerycznego atomu w olbrzymiej kolumnie gazu, niewidzialnej niteczki w potężnym mięśniu, miażdżącym miliony wrogów — jakoż śmiesznem, głupiem i ordynarnem wydało mu się przerażenie i groza, z jaką on marny jakiś leukocyt rzucał się na obce ciało, które się dostało w organizm do jakiego przynależał — rzucić się musiał... przeraźliwą śmiesznością wydał mu się wstręt i obrzydzenie, że niszczy i morduje i pochłania obce, dla jego organizmu szkodliwe komórki i ciała, że pomaga rozwalać ściany zbyt ciasnego kotła...

Jakie to głupie!

Błogosławił kuli, która w setkach nieprzyjacielskich karabinów tkwiła, a która go za chwilę wznak rozłożyć mogła, witał ją zdala, bo cóż mu mogło dać życie jeszcze wznioślejszego nad to przeświadczenie, które teraz z taką bolesną rozkoszą każdą komórkę jego mózgu wypełniało i jaką każde włókno jego nerwów drżało...

Śmieszna i głupia igraszką wydały mu się w tych szalejących orkanach dwóch wrogich żywiołów, osobiste szaty namiętności — osobiste cierpienia...

Śmieszna i głupia igraszką...

— Tak!

I jakby chciał się w tem przeświadczeniu silnie i mocno z szeroko rozstawionemi kolumnami swych nóg utwierdzić, powtórzył raz jeszcze:

Śmieszna i głupia igraszką...

Cóż on to jeszcze chciał powiedzieć? W czem jeszcze głębiej się utwierdzić, o czem to jeszcze tak dokładnie siebie samego przekonać, że na ogromnym ciężkim kłosie jego samopoznania wszelaka wątpliwość nie zaważyłaby więcej nad delikatny pyłek nasienny?

Jęknął głucho.

Spojrzał teraz w siebie. Było to jakby jakiś piekielny granat był wybił w jego duszy otwór już nie na dziesięć, ale na tysiąc metrów — cały geyzir ogromnych kęp ziemi, chmury piasku, z wnętrza powyrywane kamienie buchnęły w górę, wysoko ponad nim, który przed chwilą jeszcze stał na wyżynie najwznioślejszego człowieczeństwa — unicestwienia osobistego „Ja” — w bajurę szarpiącego bólu, aż nazbyt osobistego sromu, bólu, wstydu, gryzących wyrzutów sumienia i jakiegoś wściekłego nakazu, że musi spełnić coś, co tylko jego najosobistsze Ja mu zrobić kazało...

Dźwignął się — poczuł jakieś nieokreślone bóle to w ramieniu, to w nodze — coś zaparło w nim oddech, jakby wszystkie żebra były połamane i podnosić się nie chciały, ale to go wszystko nic nie obchodziło — na co innego teraz patrzył — z całkiem czem innym dusza jego się zmagła.

A już to było pod wieczór i przy końcu nieprzyjacielskiego ataku.

Rogosz z garścią zatrzaśniętym rzucił się w rozwścieczonym pędzie na ostatnie szeregi żołdactwa, które nieprzyjaciół z zaciekłością pchał pod górę.

Jak oberwana chmura zwałił się na bohaterską w nieludzkim trudzie wdrapującą się kolumnę nieprzyjacielską, jednym rozjuszonym zamachem przełamał środek nieprzyjaciela — obrońcy zamku wzięli jedno i drugie skrzydło nieprzyjacielskie pod komendą Ponikły na celny strzał. Nieczuja widział, jak Rogosz wszystkie swe siły z większym, nieludzkim już impetem rzucił na prawo — bateria, usadowiona na przeciwległym wzgórzu umilkła z lęku, by nie bić w swoich — i tu teraz zawrzał zaciekły bój na bagnety, kolby, pięście, noże — oficer, któremu Rogosz zdołał właśnie przyjść na pomoc, rzucił się z nieopisaną furją na pracującego nieprzyjaciela, zwałił go w dół — a nagle, gdy już Rogosz widział pewne zwycięstwo,

skierował swój mały zastęp w głęboki jar, który obok wzgórza przerzynał, i zaszył się w jego gęstwinie.

Rogosz! Oddech cały się w nim zaparł.

Jaki piekielny los ich po tylu latach tu razem zetknął!

Nieczuja zatrzęsł się na wspomnienie wzroku, jakim go Rogosz obrzucił, gdy się przed paru dni dziwnym zdarzeniem w obozie Ponikły znaleźli.

Rogosz, kiedyś jego najbliższy, najserdeczniejszy przyjaciel—jedyny, jakiego w życiu miał, z którym razem wyrósł, na jednej ławie szkolnej młodość swoją spędził, z którym był związany tysiąckrotnymi węzłami tak gorącej, tak serdecznej przyjaźni, że wobec niej najściślejsze węzły najbliższego pokrewieństwa wydały się pospolitym konwenansem...

Że to się stać musiało!

W roztopach ognia niebieskich błyskawic nie mogła być widniejsza ta kotlina tam w dole, jak w bolesnej łunie chorej wizyi ta chwila, gdy na ganku domu rodzicielskiego, do którego Rogosz był go zawiózł, ujrzał po raz pierwszy ją — siostrę Rogosza.

Stała cała skąpana w blasku słońca, onieśmielona, trochę zmieszana.

— Tyle już o panu od brata słyszałam...

Odruchowo zakrył oczy, by nie widzieć tej zjawy, która w płonącej czerwieni rozblasku zachodzącego słońca przed oknami jego duszy stała.

— Przyszłaś mnie znowu nawiedzić? — jęknął głucho... i aby nie słyszeć cichych, jękliwych i serdeczną krwią ociekających szepków, które natarczywem rojeniem go straszyły, począł wyteżenie nadśluchiwać, czy straszliwy ryk granatu nie wyzwoli go z tej opętańczej męki.

To, co jeszcze przed chwilą wydało mu się śmieszną i głupią igraszką—co tak namiętnie i uporczywie i z taką rozpaczłą zaciekłością chciał w sobie uśpić, zdusić, a przynajmniej oszu-

kać dostojnem wyzbyciem się swego osobistego Ja, rozlaniem się tego głupiego Ja w olbrzymim organizmie całego Narodu, wypełzło nagle z jakiejś cieniuteńkiej szpary w kształt długiej, ślizgłej żmiji z szyderczo, kpiąco mrugającymi oczyma, a raczej zimnym uśmieszkiem kata, który nowe, niesłyszane jeszcze dotychczas tortury przygotowuje.

A wraz ozwał się dyszący, nienawistny szept — tuż nad jego uchem:

O! straszny kusicielu! Jak piekielny był ten słodki jad, któryś mi w żyły zastrzyknął, jak przemożna trucizna, która mi oczy oślepiła, mózg obłędem szału spowiała, obezwładniła me członki, żeś mógł się nimi gdyby omdlała od żaru słońca wicią powoju owinać!

— Przekłety, przekłety! zawyło nagle wokół niego.

Czuł dokładnie jak ślizga, długa żmija okręciła zwojem obręczy jego serce i głośno w nim się rozrzechotała.

— Podstępny kłamco! — słyszał ale to już nie był szept — to jakby jakaś cicha, rozanielona muzyka — tak! kojący chór anielski, ach jak słodki i uroczysty! — tylko skąd się biorą te piekielne słowa do tej muzyki wniebowzięcia?

Dźwignął się z ziemi i w przeraźliwym niepokoju nadłuchiwał.

Muzyka się zbliżała, słyszał ją coraz rozgłośniej z daleka i z bliska, ale teraz seraficzny hymn anielskiego pienia przedzierzgnął się nagle w ordynarny, karczemny wrzask, skowyt, rozwycie wściekłych pijanych głosów:

— Coś zrobił z czystą gołębicą? Czemuś splugawił święty przybytek czystego Romowe, do którego Cię brat-przyjaciel wprowadził?!

— Łotrze! zerwał się na równe nogi, bo słyszał dokładnie głos Rogosza.

Przetarł oczy, ale nic nie widział prócz rzadkich już przeblysków błyskawic na ciemnym niebie i nic nie słyszał prócz

przeraźliwego szumu i huku — ale to pewno tylko w własnej głowie, bo przecież wokoło kamiennym snem spoczywali żołnierze.

Tak! to niemożliwe — to nie mógł być głos Rogosza — Rogosz zdobywa na przeciwległym wzgórzu nieprzyjacielską baterię.

Taczając się, ale z tysiącem ostrożności, by nie nadepnąć na któregoś z żołnierzy, dowlókł się Nieczuja do na wpół rozwalonego muru — tam, gdzie przed paru dniami, czy też paru godzinami śledził w gorączkowem, a tak nieskończenie spokojnem naprężeniu każdy ruch na polu walki.

Tak! to było wtedy, gdy się już był całkiem z siebie wyzwolił, a jego Ja zapadło się w bezdennej czeluści czegoś, co całkiem do niego nie przynależało, gdy się uczuł marną komórką, mikroskopijnem ciałkiem, chimerycznym atomem gazu, nitczką w poczwarniej masie mięśni — ha, ha, ha!

Kiedy to było?

To przecież niedawno!

Dawno już był znikł Rogosz w głębokim jarze, w który się nagle przerzucił, gdy już stronie, której poszedł na pomoc, zwycięstwo zapewnił.

— Śledź Pan Rogosza — zawołał Ponikło, który teraz osobiście walkę prowadził i Nieczuję całkiem na wywiadowczym posterunku pozostawił, jako że mu bezgranicznie ufał, bo wiedział, że oficerowi, którego twarz czerw bezgranicznej męki toczy i głębokie bruzdy w niej ryje, ufać można.

Nieczuja stał się jednym okiem. Ale jar był głęboki, tworzył zakręty, był gęsto zarosły i nic dojrzeć nie mógł.

Już atak nieprzyjacielski słabł na całym wzgórzu — już szeregi żołdactwa, rozjuszonego nadzieją pewnego zwycięstwa, zdołały ochłonać i myśleć o ratunku i jakiejś obronie od wściekłego ognia obrońców zamczyska, gdy Nieczuja ujrzał nagle na linii przeciwległego wzgórza, odcinającej się od wid-

nokregu — tam skąd niedawno jeszcze lał się grad niszczących granatów, coś tak nieprawdopodobnego, że myślał, iż to jakiś majak szatański.

W blasku zachodzącego słońca, które nie ślepiło, bo wyglądało jak olbrzymia, czerwona, krwawą gazą zasłonięta tarcza ognista, ujrzał Nieczuja pędzącą przed się oszalałą czwórkę koni, wlokących za sobą ciężkie działo.

Jak huragan rzuciła się czwórka z góry w stronę ku dolinie. Przedni koń poślizgnął się i padł — tylne przewaliły się przez niego — jeden tylko jeszcze włókł tą całą wierzgającą, duszącą się kupę swoich towarzyszy, ale w tej samej chwili, zwała się ciężka armata swoim olbrzymiem żelaznem cielskiem poprzez rwące się z ziemi w fantastycznych podrzutach i rozpaczliwych wierzganiach szamocące się konie, przewalkowała się miażdżąc przez nie, pociągnęła jeszcze kawałek ogromem swego ciężaru bezwładne, chaotycznie skłębione cielska i utknęła w jakimś wnęku wzgórza.

Jeden tylko jeszcze bachmat z boku harcował oszalały, wyrwał się w rozpacznej wściekłości z postronków, wierzgał z obłąkaną zaciekłością na wszystkie strony, targał w nadmiarze rozpętanych sił armatą, tratował cielska swych towarzyszy — wreszcie wspiał się w górę, tak że zdawało się, że w tył runie, rzucił się naprzód i w tym niesłychanym wysiłku zerwał powrozy, a sam począł biedz w obłąkańczym pościgu w dolinę.

Teraz Nieczuja zrozumiał:

Tam Rogosz pracował!

— Zwycięstwo na razie! — zawołał Ponikło — z tej strony niebezpieczeństwo nam nie grozi. Rogosz zdobył baterię.

A i nieprzyjaciół, który w rozsypce i w panice wdrapywał się z powrotem na swoje pozycje, przystanął na chwilę skamieniały — zrozumiał, że bateria, pod której osłoną przed paru godzinami szedł do ataku, została jakąś szatańską mocą

zniszczona; rozsypał się bezradnie na wszystkie strony w jeden i drugi bok, znikł w wądołach i szczelinach wzgórza, a wściekły ogier harcował po całej przestrzeni po rannych i trupach tych, którzy przed jego rozszalałą mocą w czas ubiedź nie zdołali.

Rogosz rozpętał z uwięzi obłąkanego ogiera — widmo głupiej, śmiesznej, ślepej śmierci...

Czy wie ona kogo, i co trątuje?!

Ona, która bezmyślnie niszczy i kosi wszystko wokoło, a nie przychodzi do tych, którzy jej czekają, i jej pilniej szukają, aniżeli ukrytych skarbów..., którzyby się radością wesełili, płasząc, gdyby znaleźli grób...

Pomnął, że już Job tak Bogu bluźnił — ale on Nieczuja, śmierć zwyciężył — osiadł ślepego ogiera już raz i poprowadził go na czystą gołębicę, aby ją strącił, jakoż to uczynił, a teraz sam się pod jego kopyta położy, aby strącony został, bo bodaj był zginął dzień, w którym się był urodził i noc, w którą rzeczono:

Począł się mężczyzna!

Ha, ha, ha! rzechotała żmija, która była oplotła jego serce, i teraz delikatnem żądłem łechtała jego serce.

Mężczyzna?! Podły, marny samiec, który sprowadził śmierć na biedną gołębicę, potargał węzły, świętsze i dostojniejsze, aniżeli te, które dziecko z matką, brata z siostrą wiąza, węzły nie z krwi, ale z Ducha stworzone — węzły wierności przyjaciela.

— Obywatelu Nieczuja! Ponikło ścisnął jego rękę — bohaterskość placu dotrzymał — trzeba teraz iść kazać się opatrzyć — Rogosz wraca żywy i cały — bateria zniszczona... A! psia krew! pół ucha oderwane, cały mundur krwią zabrany... W tej chwili do opatrunku!

— To nic — to nic — głupie draśnięcia...

Ujrzał Rogosza, jak wkraczał na podwórze zamku z pię-

cioma ludźmi — tylu ich jeszcze mu zostało — i znowu z tym samym groźnem pytaniem, jakim mu Rogosz, gdyby niszczącym piorunem duszę rozszczepiał:

— Co znaczą te oczy na fotografii zmarłej, przekłute szpilką?! pytał groźnie Rogosz.

Kiedy to było — kiedy to było?!

Czyż on nic nie wiedział — nic nie przeczuwał — ani odrobinki tego, co między siostrą, a nim — Nieczuja — Łotrowskim samcem było zaszło?!

Strasliwa chwila milczenia — ciężka, jak parność burzy przedpotopowej.

Zdało się, że musieli się rozstać przed czemś strasznym, co między nich ciężarem oberwanej wieczności spaść miało.

— Łotrze! Morderco!

I nic więcej.

A żmija, laskocząca jego serce delikatnem żądłkiem, chichotała złośliwie:

Jaka szkoda, że Rogosz nie przeczytał na odwrotnej stronie fotografii:

— Przekłete oczy, które Cię ujrzały — niech się teraz na wieczność całą zamkną!

Chichotała żmija i skręcała jego serce tak pieszczotliwymi oploty, że z więzów swych wyrywać się poczęło i w krtani mu wrosło.

Dławił się i dusił — wyciągnął się na ziemi, znowu się zrywał — wiedział, żeby mu teraz ciężki płacz ulgę przyniósł — ale wszystko to, co miało mu dać wyzwolenie, ulgę jakąś, osiadło kamieniem w gardle. Wyciągnął się wznak, bo nijakiej ulgi znaleźć nie mógł.

— Człowieku! Ty masz ciężką gorączkę!

Nieczuja podniósł się i pilnie się jął przypatrywać nie twarzy, bo na razie nic nie widział, tylko temu głosowi, który, jak zmiarkował, był istotnie realnym i pochodził co prawda z ja-

kiejś głupiej rzeczywistości, ale w każdym razie z takiej, którą się na jawie żyje.

Wpatrzył się głęboko w głos i rozpoznał go — i zdjął go przeraźliwy strach i lęk, który zimnym dreszczem nawskróś go przeszył:

Głos Rogosza!

I nie doszło go to słowo potajemnie, z którego ucho ludzkie cośkolwiek pojmuje, ani też nie posłyszał go w rozmyślaniu widzenia nocnego, gdy przypada twardy sen na ludzi — ten głos, te słowa były istotne, dobre, słodkie, kochane, tak nieskończenie bohaterskie:

Głos Rogosza!

I opadła mgła z jego oczu, straszny ciężar majaków gorączki spełził z jego mózgu.

Teraz się ujrzeli.

I znowu straszliwa chwila milczenia — ciężka, jak parność burzy przedpotopowej.

Nieczuja oczekiwał owej chwili, w której ciężar oberwanej wieczności go zmiażdży jednym strasznym pytaniem:

— Kto wyklął żyjące oczy?

Jednym strasznym przekleństwem i bluzgającą zniewagą:

— Łotrze! Morderco!

Ale nic: przeraźliwa cisza, którą tylko plusk tego kamiennego płaczu, jaki Nieczuję dławił, mógł wypełnić; przywarł do ręki Rogosza, a nie było to całowanie: to włosy jeżące postanowienie, olbrzymi tryumf jednostki, która przestała być marną komórką, jaką kwintilion miliardów innych zastąpić może — wniebowzięte upojenie przeświadczenia, że nie jest tylko marnem ciałkiem krwi, którego zanik tyle znaczy, co zdmuchnięcie jednego pyłku nasiennego z olbrzymiego łąnu zboża, — ale jednostki, władczyni nad życiem i śmiercią, sędzi sprawiedliwego swych win i — zbrodni: jednostki — świętej Atman — duszy, która pławi się w kałuży, która szybuje w przestwo-

rze — duszy wschodu słońca i jego konania w zachodzie i tej w płomiennym szale południa i wijącej się w ciężkich snach nocy...

I silniej jeszcze przywarł do ręki Rogosza.

Ten zasię mu jej nie odjął.

— Mocą, która nad życiem i śmiercią zawładła, odkupię mą zbrodnię — szeptał, śmiał się, płakał Nieczuja.

A z pustych jam oczu, wydziurawionych w fotografii, która po śmierci Jej otrzymał, wykwitły gorące, wyczekujące blaski: spełził napis potępienia, a gorącą tęczą rozlśniło mu się w oczach:

— Stań się!

* * *

Z większą jeszcze zaciekłością, aniżeli poprzedniego dnia, szturmował nieprzyjaciół nędną fortecę Ponikły — przesunął się teraz na boczne wzgórze.

Baszta i półkola, strasznie już poharatanego dawniejszego muru, przylegającego do baszty, stanowiła ostatnią obronę bohaterów, broniących do ostatniego tchu zamczyska.

Pierwszy zaciekły atak nieprzyjacielski został wśród ciężkich strat z obydwóch stron odparty.

Chwila wytchnienia.

Ponikło obrzucił całą pozycję bystrem, niespokojnem spojrzeniem.

Jak długo tu się utrzymać zdoła? Na pomoc przestał już liczyć — został zupełnie odcięty od swej dywizji — tam straszne walki toczyć się musiały, albo już rozegrane zostały — nie słyszał wprawdzie huku armat, ale wywnioskował z tego, że dostał się widocznie w ten fatalny obręb atmosfery, w którym powietrze na przestrzeni kilku mil głuźnie.

Gdyby się dostać na przeciwległe wzgórze, gdzie wczoraj Rogosz zdobył część nieprzyjacielskiej baterii, tamby z pew-

nością można posłyszeć kierunek, w którym główna bitwa się rozgrywa — ale o tem teraz marzyć nie było można.

— Panowie oficerowie do mnie! zawołał Ponikło, nie odejmując lornetki od oczu.

W mig obstało go pięciu oficerów.

— Jakie straty dzisiaj? — czyścił szkła lunety i na nowo przyłożył je do oczu.

— Około 50-ciu zabitych, przeszło 70-ciu rannych... oficer Kozicki zabity.

Ponikło zdjął kask — oficerowie pochylili odkryte głowy.

— Straty olbrzymie — ciągnął Ponikło, — jest nas teraz zaledwie dwustu. Nieprzyjaciel odważny i w olbrzymiej przewadze — jeden jeszcze atak, a jesteśmy straceni, bo — zachłystnął się — amunicji nam zabraknie. Z tylnej armii nie otrzymamy tak rychło pomocy, chyba, żeby się cud jakiś stał. Przytem dostaliśmy się w ten fatalny obręb powietrza, że nie słyszymy huku armat bitwy, która się gdzieś poza nami rozgrywa, więc nie wiemy, w jakim kierunku. Nie pozostaje nam nic innego, albo się poddać, lub też wytrwać — do ostatniego.

— Do ostatniej kropli krwi! — zawołali oficerowie jakby wyuczonym chórem.

— Nie pomyliłem się na Was, obywatele, i ja tak postanowiłem.

Nagle rozwyło się powietrze przeciągłym grzmotem:

Bez komendy padli wszyscy na ziemię.

Opodał w dole podwórza zamczyska padł granat, zarył się głęboko w ziemię, rozszarpał ją i rozjuszona lawą geyziru wyrwały się z głębokiego otworu kawałce sypkiej ziemi, buchnęła w górę chmura piasku, zmieszana z kawałkami żelaziwa i grudem z wnętrza powyrywanych kamieni.

— Rozpoczyna się piekielny taniec — mruknął Ponikło. — Oficerowie na stanowiska, przypuścić nieprzyjaciela choćby na dwieście kroków i szczerdzić amunicji — zakomenderował.

Dwieście łuf karabinowych wysunęło się przez otwory strzelnicze, porobione w murze, a gdzie się już mur był od uprzednich granatów zwałił, służył każdy kamień za osłonę: kupa na przedce poukładanych cegieł, otwory w ziemi, powyrywane przez granaty, naprędce pousypywane szańce ziemne.

Znowu świeży granat zrobił wyłom w murze — w szerokim łuku rozsypał się wokoło poprzez do ziemi przykucniętych żołnierzy gruz i cegły.

A teraz jeden po drugim w szybkim odstepie — baszta zatrzęsa się, zachwiała w posadach, a za chwilę cała korona runęła z piekielnym grzmiotem w dół podwórza.

Z piorunującą szybkością jęli żołnierze budować z gruzów nowe ochrony — zauważono widocznie tę gorączkową pracę, bo ponad głowami gotowej już do ataku kolumny nieprzyjacielskiej wysłano jeden granat po drugim, — ostatni był celny.

Tuż w murze, przylegającym do baszty, tam właśnie gdzie Nieczuja miał komendę, zrobił ogromny wyłom — rozległ się rozzdzierający krzyk śmiertelny: wśród walących się gruzów wiło się w przedśmiertnych konwulsjach trzech żołnierzy — jeden z nich chwycił się za piersi, za głowę, karabin wypadł mu z ręki, runął na ziemię tuż obok Nieczui.

— Jezus Marya! — wybiegło jeszcze z siniałych ust...

— Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju — mruknął Nieczuja, i podjął z ziemi karabin.

Czuł w sobie jakiś straszliwy, nieziemski spokój — przeokropną ciszę Przedstworzenia, kiedy jeszcze nic nie było, prócz niego.

Tak! Jego samego — ale już nie jako marnej ameby, zaczątku ciałka krwi, chimerycznego atomu, ale Jego, Pana nad życiem i śmiercią, Zbrodniarza i Sprawiedliwego, Sędzi zarazem, Grzesznika i Arcykapłana zarazem, który może rozwiązać to na ziemi, co związane w niebie, rozgrzeszyć w niebie, co w sromocie i hańbie dokonane zostało na ziemi.

A z jam wyklutych oczu na tej fotografii, która cała skąpana w krwi, cała krwią jego przeciekła w kieszeni munduru dawno już się zamieniła w papkę, którąby wydźać można, lały się święte uroczyste blaski w jego duszę i wypełniały ją do dna świetlistym, najwyższą i najświętszą łaską przepelnionym cudem Wyzwolenia.

Błogosławiony dzień, którego się urodził i noc, w której rzeczono: Począł się mężczyzna — począł się atman — poczęła się dusza, wszystko ogarniająca, sama przez się zapłodniona, władczyni nad życiem i śmiercią.

Bodaj noc ona, w której popełnił wielką zbrodnię, jeszcze silniej się roziskrzyła, tysiącami słońc, wszechświatowym pożarem się rozłuniła, bodaj się w nieskończoność w liczbę dni rocznych rozrodziła — bodaj dzień ów, w który ją ujrzał — ją z temi wszystkowidzącami, choć przekłutemi oczyma — po wszelką wieczność nigdy się w ciemność nie obrócił, obłok szалу, w którym ją był posiadał nigdy się nie rozpierzchnął, a wzmogła się jeszcze gorącość onego dnia!

W krwawej męce udało mu się oderwać ślizgą długą żmiję od swego serca, która kazała mu przeklinać dzień, którego się urodził i noc, w którą rzeczono: Począł się mężczyzna!

Nie szukał już śmierci, ani jej nie wzywał, bo wiedział, że mu jest blizką, powierniczką i oblubienicą — bramą tryumfalną, przez którą miał wkroczyć do swego Królestwa, które nie było z tej ziemi, jakoż i on przestał być z tej ziemi.

W jakimś ekstatycznym podniesieniu, a równocześnie z kamiennym spokojem i zimną rozwałą przypatrywał się, jak zwarta kolumna nieprzyjaciela rozsypywała się na przeciwległym wzwyżu wszędy i w szalonym pędzie runęła w dół — za chwilę sformowała się pod osłoną granatów, walących bezustannie w zamczysko, oficerowie rzucili się z dobytymi szablami naprzód — a za nimi w rozwścieczonych podrzutach, zwycięstwa pewne żołdactwo.

Nowy, szerszy jeszcze wyłom w murze.

— Rannych uprzętnąć, zakomenderował Nieczuja — kamienie i cegły na kupę! formuj się!

W okamgnieniu wyciągnięto z pod gruzów kilku ciężko rannych żołnierzy — sanitaryusze chwycili ich na nosze — w tej samej chwili zapchnięto cegłami wyłom i w najwyższym spokoju wysunęło się kilkadziesiąt łuf, kilkadziesiąt żyjących, drapieżnych, pragnieniem zemsty dyszących oczu wlepiło się w wroga, który w olbrzymich fantastycznych susach i podrzutach, jakby piekielnym wichrem niesion, wdzierał się pod górę.

Bliżej, coraz bliżej!

— Pal! — postyszał Nieczuja donośną komendę Ponikły.

Z dwustu karabinów zagrzmiała piekielna salwa.

— Pal!

Po raz drugi zionął morderczy ogień.

Linia nieprzyjaciela się wygięła w pokraczne gzygzaki, tu i ówdzie powstawały luki — ale w tej chwili wypełniane zostawały i wyżej, coraz wyżej, z coraz większym rozpędem i rozjuszeniem wdzierał się wróg — mimo ciężkich strat zdołał się zbliżyć na sto kroków — rozbiegł się daleko poza osłoną, jaką mur tworzył — tu już całkiem odkryty płaskowyż: i tu w tę stronę przerzuczał dowódca całego batalionu coraz to nowe posyłki i pragnął widocznie osaczyć garść obrońców z tyłu.

— Pal!

Znowu zachybotała kolumna nieprzyjaciela, wdzierająca się na odkrytą przestrzeń, zachwiała się, zatrzęsła w posadach — powstały liczne wyłomy, ale znowu w mig wypełnione zostały.

O kilkanaście kroków na przestrzeni jakichś 50-ciu metrów od resztki półkola na wpół rozwalonego muru, okalającego dawniejszy zamek, wdierali się z niehumanitarną pogardą śmierci nieprzyjacielscy żołnierze.

Jakaś wściekła ognista watra nagłego postanowienia rozpałała się obłądnym szaleństwem w mózgu Nieczui:

Teraz pomszczę noc oną, noc oszukaną, w której powiedziano, że pocałował się mężczyzna, a pocałował się był samiec!

Pomści noc, którą oszukano, bo powiedziano jej, że poczęła mężczyznę, a porodziła samca — tę świętą noc, która poczęła Jęgo, teraz pomścić musi za niecne, hańbiące oszustwo!

W obłąkanym mózgu rozszał się huragan krwiożerczej pomsty:

— Pomszczę Cię święta nocy!

Zerwał się i odruchowo spojrzał na Ponikłę.

Ponikło skinął.

— Na bagnety! ryknął wielkim głosem Nieczuja.

Nie minęło dwóch sekund, a oddział Nieczui, złożony z kilkudziesięciu ludzi, oderwał się od muru i rzucił z najeżonymi bagnetami z tak wściekłym, piorunującym rozmachem na nieprzyjaciela, który już tuż-tuż miał obrońcom zająć tyły, że w jednej chwili zapanował zamęt.

Było to, jakby rozjuszona, głodem do szaleństwa doprowadzona horda rozbestwionych zwierząt była się rzuciła na to plugawe mrowie, które chciało oblesć ich legowisko.

A na przedzie Nieczuja, dyszący obłąkaną zemstą za oną noc, w której miał się być pocałować człowiek, a porodził się niechlujny samiec...

Chłop olbrzymi, siłacz tak niepospolitej mocy, że chwyciłszy konia za przednie nogi, podnosił go w górę i osadzał na tylnych, rzucił się jak wściekły bawół na najbliższego żołdaka, a zaczęł tenże zdążyć go pchnąć bagnetem, już leżał wznak, z na wpół pałaszem Nieczui rozpłataną czaszką — Nieczuja pochwycił jego bagnet, wpychał go w piersi, w brzuchy, siekł nim naokoło, schwycił oburącz za lufę, zaczął walić kolbą, w mig ją roztrzaskał, wyrwał komuś drugi bagnet i jakby był rozum postradał, wrzeszczał w szaleńczem opętaniu:

— Pomszczę Cię! pomszczę!

Ludzie jego oddziału byli, jakby zarażeni wściekłą Nie-
czui.

Piorunem i huraganem stał się Nieczuja.

— Kosy! ryknął — ujrzał jak pod pierzchające żołdactwo
napędzał oficer w szale wściekłości na pianą obryzganym ko-
niu nowy oddział uciekającym na pomoc.

— Kosy!

Chciałby teraz jednym zamachem ściąć wszystkie lby
w bezpamiętnym pędzie podlatującego w górę oddziału nie-
przyjaciela.

A nagle przystanął zdumiony i znowu było, jakby to
wszystko, co się naokoło rozgrywało, to wcale nie On widział
— znowu zapomniał na chwilę, jak się nazywał. Całkiem nie
On — czem on był? Komórka, ciałkiem krwi, atomem — ale
w tej chwili się opamiętał.

Aha! Ohydne tchórzostwo! — znowu chciał swoje Ja skryć
w nędznej komórce, zagrzebać się chimerycznem ciałkiem
w potężnym strumieniu krwi, znowu pragnął zapomnąć o tem,
że był Duszą, wszechświaty ogarniającą, sprawiedliwym Sę-
dzią i Władzcą nad Życiem i Śmiercią.

Strasliwa watra pomsty onej oszukanej nocy, w której
miał być poczęty mąż wielki, a wylęła się nędzna komórka,
przypuszczalny atom, z większą siłą jeszcze rozżagwiła się
w jego mózgu.

Stał chwilę, czuł, jak się rozrasta w ogrom tego Ja, które
wszystko w siebie wchłonęło: nie zważał na bagnety, w pierś
jego zmierzone, ani na kule rewolwerowe, dla których gdyby
stercząca skała był doskonałym celem, krew mu się lała
z czoła, gorącym strumieniem ściekała po całym ciele, a nagle
błyskawicznym ruchem rzucił się na najbliższego żołnierza,
który nań nacierał, wyrwał mu bagnet i jak piorun w szaleń-
czych skokach cisnął się na oficera: duszę i wolę świeżego nie-
przyjacielskiego zasilku.

Było to mordercze mocowanie się, potworny popis atletyczny walczących w zwierzęcem zapamiętaniu gladyatorów — pierś o pierś; przekleństwa, wrzaski, dzikie okrzyki, jęki rozrywały powietrze i sprzęgały się w piekielny akord z rżeniem konających, pomiotem bluźnierstw i plugawych klątw nieprzyjaciela, trzaskiem kolb, świstem kul, rozpaczliwych nawoływań nieprzyjacielskich oficerów do nowego ataku.

Ale napróżno!

Obłąkany bawół Nieczuja pędził przed się, ryczał niehumanym głosem: Pomszczę Cię! Pomszczę! co chwilę nowym bagnetem torował sobie drogę, miażdżył kolbą cofających się przed tem straszliwym widmem Grozy nieprzyjaciół, a za nim w niehumanym szale, krwi chciwym, mordu, zagładą parł naprzód oddział żołnierzy, których siły do niepojętych rozmiarów wyolbrzymiały: ludzie przestali być żołnierzami, stali się ordynarnymi oprawcami, trawili leżących podkowami podbitymi obcasami, rozrywali sobie brzuchy nożami, dławili się wzajemnie żelaznymi kleszczami palców, każdy chwycił, co miał pod ręką walił, łomotał, żgał, miażdżył — to już nie był bój, to rzeź, to rozszarpywanie się w kawały, to jedyna przeolbrzymia wola, doszczętnie wyzwolona z wszelkich pęt rozwagi, instynktu samoobrony, oderwana od wszelkich myśli, wszelkich uczuć — wola nieznająca ni bólu, ni cierpień, dźwigająca cielsko z potrzaskanymi członkami, oderwanymi ramionami, pokłóta na rzeszoto piersią... wola: piorun — wola: oszalały huragan...

Oficer spał konia ku obronie, tak, że dęba stanął — ale już za późno; z potępieńczą siłą wpakował mu Nieczuja ostry bagnet pod żebra, zwałił go z siodła, cisnął się na niego, wduślił żelazne palce w żyły jego karku, ściągnął dłoń z rozjuszoną wściekłością, zawył niehumanym głosem: „Pomszczę Cię! pomszczę!“ Coraz zjadleń dusił — kogo? siebie samego — niechlujnego samca, którą oszukana noc poczęła? chrzęst, trzask,

rzeżenie — strumień krwi obżygał Nieczuję, a nagle jąła pomszczona Noc kojąco opadać na jego oczy — słonecznym blaskiem roziskrzyły się gwiazdy przy jej zmierzchaniu, a nie potrzebowała oczekiwać światła zorzy porannej, bo dwoma szerokimi strugami lało się z jam wyklutych oczu Onej, którą był zbrodnią swoją zamordował, a która go teraz do wiecznego życia powołała, do ogromu tego Ja, które nad Życiem i Śmiercią włada.

Słyszał jeszcze jakieś charczenie, jakieś wrzaski — jasnowidząco wiedział, że Rogosz jak oberwana chmura spadł mu na pomoc...

Rogosz! Rogosz!

Ktoś obejmował jego głowę, ktoś całował go gorąco: Rogosz!

Siła, z cudem objawienia graniczącą, zerwał się z ziemi:

— To Ty?! Ty?! Ty?! Rogosz?!

A Rogosz całował jego ręce i zapłakał jak małe dziecko.

Pomszczona Noc otuliła najrozkoszniejszymi swymi czary duszę Nieczui, a dusza jego rozpłakała się uniesieniem Wniebowzięcia.

Teraz począł się do nowego życia: mąż - Wola, mąż - Czyn, mąż - Zaranie do nowych czynów, nowych poświęceń, mąż - Jutrzenka wielkiej Przyszłości.

Pomścić naszego! — ryknął Rogosz z krwawym płaczem i zwałł się z swoim małym oddziałem na połamane szeregi nieprzyjaciela, które w dzikim popłochu, grozie Sadu Ostatecznego i w ślepem przerażeniu pędziły na oślep przed się — tylko tu i ówdzie wyciągały się błagalne ręce, ale nie było pardonu: jedna tylko bezduszna, mściwa, rozjuszona, włosy na głowie jeżąc rzeż: nieprzyjaciół, który do ostatniej chwili walczył z rozpaczliwym bohaterstwem, cofał się z początku w jakim takim jeszcze porządku, poszedł teraz całkiem w rozsypkę. Na nic się nie zdały rozpaczne nawoływania tych paru

oficerów, którzy jeszcze przy życiu zostali — nikt już komendy nie słuchał: ślepa panika gnała ich piekielnym wichrem przestrachu w dół:

Całe wzgórze zostało oczyszczone.

III.

Z daleka i z bliska słyszać było huk armat, sygnały trąbek i na pianą pokrytych koniach wpadło na podwórze zamczyska kilku żołnierzy:

Jeden olbrzymi, niebo przedzierający ryk:

Zwycięstwo!

— Oficerowie do mnie! — rozległ się donośny głos Ponikły.

Trzech ich zasalutowało.

— Otrzymuję wieść — Ponikło drżał poraz pierwszy z wzruszenia — że dywizya nasza w krwawej i strasznej bitwie zwyciężyła... Ponikło łamał się i gniewny był na siebie, że w tej wielkiej chwili, niezdarnie słów dobierał...

— Zrobiliśmy swoje, dzięki nieludzkiemu bohaterstwu Rogosza, który wczoraj ubezwładnił baterię nieprzyjacielską, dzięki Nieczui, który dziś...

Urwał.

Na podwórzu ruin zamczyska powstało nagłe poruszenie: czterech żołnierzy dźwigało na noszach w ciężkim trudzie martwe cielsko Nieczui: wyglądało to, jak stratowana, w skrzepłej krwi splukana, z ziemią zbabrana kupa mięsa tu i ówdzie odziana na strzępy zdartymi łachmanami.

Ustawili na środku nosze — wokół przyklękli żołnierze — a obok stał Rogosz, który przywodził całemu konduktowi.

Było coś przerażającego w tej strasznej chwili.

Cisza, wielka, parna cisza.

Na kamiennej twarzy Rogosza nie było widać wzruszenia,

tylko tam w głębi coś ciężko charczało, skrzępie — kroplami krwi z gardła się wydobywało:

— Świadczę przed Bogiem i światem całym, jako, że zbrodnia i wszelaka wina męża tego zmazana została — zawołał nagle donośnie, padł na kolana i objął latającymi ramionami tego, co zdołał pomścić Noc oszukaną...

RUCHOMÝ KAMIEŇ.

Do obozu komendanta Ponikły doszła głucha wieść o zbliżającym się nieprzyjacielu. Z pobliskich kwater wojennych dawano znać, że widocznie wszystko przemawia za tem, iż wróg pragnie obejść kilkokilometrowe bagna, moczary i torfowiska, aby z dwóch stron oskrzydlić kilka batalionów polskich, wegnąć ich w błota i doszczętnie zniszczyć.

Wobec tego powziął Ponikło śmiałą myśl, by siły swoje rozsyłać w tyralierkę, schować się w bagnach, ukryć się w trawach bachorzy, która powyżej chłopa sięgała — użyć każdej kupy torfu za kryjówkę zarazem i strzelnicę, z której nacierającego żołnierza doskonale będzie można prażyć — a ponieważ o użyciu armat nie było mowy, więc walka, która się odbędzie na bagnety, krótkie pałasze, noże rzeźnicze, rewolwery, dawała wobec niesłychanego zapału wojennego polskich ochotników wszelkie szanse zwycięstwa.

Nie dać się wciągnąć, ale zwabić nieprzyjaciela na bagna, a potem w nich go potopić — rozroić się na wszystkie strony, nie dać nieprzyjacielowi ani spokoju, ani na chwilę spoczynku, tumanić go ułudą rozporządzania znacznymi siłami przed — za sobą i wokół siebie, zmusić go do rozdrabniania własnych sił i bezustannych utarczek w pojedynkę, by potem nagłym pierścieniem się związać i jednego z nich żywcem z tego okleszczenia nie wypuścić, takim był śmiały plan operacyjny Ponikły.

Trzeba było jednakowoż przedtem doskonale się zapoznać z terenem, co było niesłychanie trudnem, bo o tym czasie po długich wiosennych deszczach cały kilkokilometrowy obszar moczarów był zamieniony w jedno topielisko.

Młody oficer Oksza otrzymał rozkaz, by nie tylko zbadał możliwość jakiegokolwiek ochrony w tych niedostępnych błotnistych kniejach wysokopiennych chwastów, trzciny, sitowia, tataraku i wszelakiego zielska wodnego, ale poszukał drózek i miejsc, na których człowiek bez zapadnięcia się mógłby nogą stąpać — a przede wszystkim miał Oksza wybadać siły nieprzyjaciela, który już od tygodnia zakwaterował się w małym miasteczku o kilka kilometrów odległego od miejsca, w którym się bagna i torfowiska rozpoczynały i pustoszył wsie okoliczne, licznie wokół rozsiane.

— Zdołasz Pan temu zadaniu podołać? pytał Ponikło i patrzył swoim przenikliwym wzrokiem na młodego oficera.

Oksza wyprostował się.

— Jestem nieskończenie komendantowi wdzięczny, że mnie właśnie dostał się w udziale wysoki zaszczyt tej misji.

Ponikło przeszedł się w milczeniu po kurnej izbie chłopskiej chałupy, która mu za sztabową kwaterę służyła.

— Pan musi zdać sobie sprawę z niezwyklej trudności i niebezpieczeństwa tej wyprawy — Ponikło przystanął — to tak — no! nie chcę Pana straszyć, ale to rzeczywiście tak, jakbym Pana wyprawiał na drogę, z której się nie wraca.

Oksza uśmiechnął się nieznacznie.

— Ja wrócę komendancie!

— A ja Panu powiadam, że babka na dwoje wróżyła — Ponikło spojrzał na niego prawie surowo — a mnie strasznie trudno poświęcać moich najlepszych ludzi...

Oksza przybladł.

— Gdybyś mi, komendancie, mówił drżącym głosem — w tej chwili był przypiął do mego munduru najwyższą odznakę wojskową, nie byłbyś mi zrobił większej radości jak Jego ostatniem powiedzeniem. O śmierć mi nie chodzi, bo są ludzie, którym jej tajemnice są zażyłe i ich nie straszą — spojrzał nagle wylęknięty na Ponikłę, bo czuł, że za dużo powiedział —

odetchnął... Z głębokiem szczęściem podejmuje się tej misji, nie tak trudnej zresztą dla mnie, bom z tajemnicami moczarów, bagien i torfowisk od dziecka obeznany i zaszczytnego zaufania komendanta nie zawiodę. O jedno tylko proszę, bym sam mógł sobie ludzi wybrać.

— O ile się zgodzą.

— To właśnie ci, których sam do obozu przywiódłem i za nich ręczę — pójdą za mną choćby w piekło.

— To idź! Ponikły „Ty“ było najwyższem i jedynem odznaczeniem, jakim rozporządzał.

— Tylko mi wracaj! A ilu ludzi weźmiesz?

— Pięciu.

— Mało.

— To mi zupełnie starczy. Taki Wojtek Cylka na przykład za dziesięciu starczy — zamyślił się nagle.

— Jaki Wojtek? podchwycił Ponikło, obdarzony tak niesłychaną pamięcią, że prawie każdego żołnierza znał — Wojtek Cylka — aha! coś o nim słyszałem — jakiś tajemniczy...

— Ponoć bardzo nawet — uśmiechnął się nieswojo Oksza — ale na nim polegać można.

— No dobrze! Ponikło wyciągnął rękę — jutro o czwartej rano w drogę.

Oksza uściśnął podaną mu rękę, zasalutował i wyszedł.

II.

Oksza, zmordowany nad siły niesłychanie uciążliwą i wyczerpującą pracą dzienną rychło zasnął twardym, kamiennym snem.

Budził się co prawda z niego, bo miał w głowie, jakby jakiś bezlitosny zegar, który z katowską, iście precyzyjną sumiennością wydzwaniał w jego mózgu kwadranse, półgodziny i go-

dziny — ale znowu zapadał w ciemne grzęzawiska tego czar-
ciego snu przemęczenia i ostatecznej mitręgi.

Po paru godzinach — a może minutach zelżała jednako-
woż głębokość i twardość snu. Teraz zdawało mu się wpraw-
dzie, że śpi, ale sen ten był jeno tylko cieniutką zasłoną, poza
którą jutrzniła się już w krwawiących się świtach jawa rze-
czywistości.

Zdawało mu się, że słyszy każdy szmer — dziwne tylko,
że każdy odgłos przedzierzał się w nowe formy dźwiękowe:
stawał się rodzajem dominanty, z jakiej wykwitwały strzeliste
niebopienne pręty fantastycznych melodyi, oplecione powojem
chimerycznych pasażów, rozgałęziały się gdzieś w mrocznych
głębiach w ciemnych głębokich akordach i rozwiewały się
w ozdobniczych floresach i karkołomnych biegnikach.

I zdawało mu się, że wszystko naokół widzi, ale każdy rys,
każdy odcień, kształt wszelaki nabierał nowych, może w przed-
bytowym życiu widzianych wymiarów — przekształcał się
w całkiem coś innego, a jednak kiedyś już widzianego — przera-
ził się myślą, że on to już był kiedyś widział — w mózgu jego
stłaczało się jak w kalejdoskopie tysiące obrazów: każdy
z nich wprawdzie, jakby wyłaniający się z całkiem innego kąta
mózgu, a jednak ten rozbrykany kierunek wspomnień, wi-
dzeń, trwogi przeraźliwej, poplątanych majaczeń przybierał
w przerażający sposób formę jak najistotniejszej rzeczywisto-
ści, w blasku przeraźliwej jasności dziennego słońca skąpanej
jawy.

Bo przecież teraz już wątpić nie mógł!

Siedział na terasie przed małym hotelikiem, który co nie-
dawno się spalił, a wysoki mur, na którego podwyższeniu stał
on hotel w zgłiszczach, opływała nadbrzeżna fala górskiego
jeziora, wokół którego piętrzyły się niebotyczne wierzchołki
gór alpejskich.

Wiedział, że On — drgnął — że On siedział naprzeciw nie-

go, czuł, że całą siłą chciał wzrok jego na siebie skierować, ale on na niego patrzeć nie chciał. Przeciwnie, próbował zagwizdać, bo miał tysiąc i jedną przyczyn, a właściwie jedną tylko i to bardzo poważną, by być wesołym i czuć się wyzwolonym, bo ten „on“ dawno przestał istnieć, a, jeżeli mimo to gwizdać nie mógł i czuł nieznośne bicie serca, jeżeli nim całym targał opętańczy niepokój, to jedynie dlatego, że przepo-
tężna powaga całego krajobrazu, jaki się przed nim roztaczał, wstrząsnęła całą jego duszę do dna.

Oczy jego bowiem, błdziły po dziwnie połamanych kształtach grzbietów czterech gór łańcuchów, które tu szczytami z wszech stron się osadziły i stromo w jezioro zbiegały.

Ale ustawicznie czuł, że oczy Tamtego, który już przecież nie istniał, coraz ciężiej na nim spoczywały, ciężarem swoim wgniatały go w ziemię — ależ nie! mylił się — to prosty majak przemęczenia: dwa dni błdził bez wytchnienia po górach bez snu bez jedzenia — czuł teraz, że buty jego podarte, a stopy krwią ociekały — ale to nic — nic!

Teraz przecież mógł wypocząć...

I oczy jego znowu błdzić jeły po dziwnie połamanych kształtach grzbietów czterech łańcuchów gór, które tu szczytami z wszech stron się osadziły i stromo w jezioro zbiegały.

Wyteżał całą swoją uwagę, by objąć ogrom tych majestacyjnych szczytów, ale dusza bezustannie mu się mąciła, bo czyjś wzrok prześwidrowywał mu plecy — czyjś wzrok wżerał się jadem trucizny piekącej w jego rdzeń pacierzowy, tak że go ustawicznie gorące dreszcze skręcały, a cały był, jakby się w zimnym pocie kapał, ale nie miał odwagi się odwrócić, bo wiedział, że teraz już nie naprzeciw niego, ale za nim ktoś siedzi, i również wiedział, że gdyby się teraz odwrócił, musiałby ujrzyć oczy, które swą mocą na proch by go starły, albo w kamienny słup przeobraziły.

Więc patrzył tylko z zdwojoną uwagą: cztery szczyty, je-

den obok drugiego, jeden w drugiego wepchnięty, a w środku osadził się najwyższy z nich, z coraz wyżej i wyżej piętrzącymi się wieżycami.

A nagle było to, jakby się wierzchołek najwyższego szczytu był na dwoje rozłupał, bo ujrzał go teraz podwójnym.

To nie może być! pomyślał zdumiony — był przecież na nim przed dwoma dniami i tam był tylko jeden szczyt...

Wykluczone całkowicie, by tam mogło być coś innego — zaciętrzewił się i starał się sobie samemu niezbiecie dowieść, że tylko jeden szczyt tam się znajdował...

Bo jakżeż? Przecież pamiętał jak najwyraźniej: tam, gdzie teraz widać tą czarną plamę — tam przecież spoczywali — on i Janusz — tam! Zerwał się nagle, bo ujrzał dokładnie, jak na dwóch wierzchołkach rozpołowionego szczytu jał Obłęd i Zbrodnia wyskakiwać potworny dyabelski taniec.

To nie może być — przecierał oczy w rozpaczonym lęku — to nie może być! Tam tylko jeden szczyt! Tam — ot! tam siadł Janusz na ruchomym głazie — tak! śmiał się jeszcze, że siadł na kołyszącej się kolebce — on zaś, Oksza, wyprostował się, chciał się wyżej podciągnąć, tracił niebacznie głaz nogą, głaz się zatoczył, a gdy się odwrócił, ujrzał, jak Janusz rozbryzgiwał się na miazgę o ostre skały tej przepastnej studni, w którą leciał...

Coraz potworniej szalał na wierzchołkach rozłupanego szczytu sprosny taniec Obłędu i Potępienia i coraz potworniej — wydało mu się to wspomnienie... och nie! to nie było wspomnienie, to spowiedź, włosy na głowie jeżące spowiedź wobec samego siebie — bo — zwinął się w kłębek — bo wiedział, że rozmyślnie i z nadludzkiem wytężeniem wszystkich sił zwałił głaz, na którym Janusz siedział — rozpaczliwa spowiedź obłąkanej duszy...

Padł na kolana z ciężką rozpaczą:

Czemuż nie miał odwagi, odwrócić się i spojrzeć w oczy

Janusza, który teraz przecież za nim siedział i mózg mu na wskrós przewiercał? Przecież wiedział, że już go Janusz na krok nie odstąpi i już po całe życie jego będzie ssać sok mocy z jego kości — ale czegoż on od niego chciał? Czegoż bezustannie wykrzykiwał nad jego uszami: Zbrodniarzu! Bratobójco!? Czemuż wciąż i wciąż smagał go w obłęd słowami tego przekleństwa? Słowami? Gdzież tam słowami! To były klątwy, piekielne walenie wściekłemi pięściami, wyszarpywanie do czerwieni rozpalonemi szczypcami żywych, obnażonych nerwów, chlipanie świeżej krwi, tryskającej z setek ran pokłutego serca!

— Czemuś mnie stracił, podstępny zbrodniarzu z podnóża szczytu w czelustną przepaść, gdym chciał chwilę spocząć?! rozwyło się powietrze wokoło.

— To nie ja! nie ja! To On! bronił się zaciekle. — To obłęd, gdym Was, Ciebie i żonę Twoją, widział kąpiących się w gorących roztopach rozslonecznionego szczęścia, kąpiących się w odmętach oceanicznej miłości...

To nie ja — nie ja! To obłęd, którym mnie Pan nawiedził, zazdrość, jaką mnie Szatan opętał — to zaciekle, obłąkana nienawiść ku bratu, na którego ofiarę Pan miłościwie spojrział i mu błogosławił, podczas gdy moją pogardził i nawet nie spojrział na jej czarne kłęby dymu, które się z sromem i wstydem po nagiej ziemi przewłóczyły — to opętane pragnienie, by zwalić górę, do której dom Wasz się przytulił i Was pod nią pogrzebać, zatamować tuż obok strumień górski, by Wasz zaciszny korab na swe barki dźwignął i gdzieś w jakąś przepaść cisnął...

Słowa jego harcowały bezładnie jak tabun oszalałych koni na palącym się stepie, to znowu były złe i świszczące, gdyby wichler, strojący szatańskie figle z trupem wisielca, to znowu stęchłe i jadowite, jak zgniły staw, w którym się roi od węzowisk padalców i wszelakiego niechlujnego gadu: słowa dła-

wione i pomiętoszone, bo ściskane żelaznemi kleszczami trwo-
gi, by się przez krtań przedostać nie mogły...

I pocóż go straszył ten głupi szatan, który jedną nogę oparł o jeden — drugą o drugi wierzchołek rozpołowionego szczytu, kiedy on wiedział, że tam był tylko jeden jedyny szczyt, ten, na który patrzyli przez dzień cały z głębokiej kotliny, w której mieszkali on, Oksza, Janusz z żoną swoją — nie! nie żoną, bo on i ona to była jedna nierozzerwalna całość, jakaś przedistotna synteza On—Ona?!

Pocóż go mamił głupi Szatan, kiedyż on wiedział, że to był tylko jeden szczyt, na który z Januszem rychło po północy zdążali — pamiętał przecież dobrze, jak się w niego wpatrywał, gdy Janusz tysiącem pocałunków żonę swoją na pożegnania obсыpywał i ją uspokajał, że rychło będzie z powrotem...

I jakby raz jeszcze się upewnić, że mógł to być tylko jeden szczyt, a jego rozpołowienie chorym tylko majakiem, wsiadł oczyma na głęboką przełęcz, wdarł się na wysokie garby — jeden, drugi i trzeci jakiegoś monstrualnego dromedara, piał się coraz wyżej po niebopiennej szyi dziwacznej girafy, osiadł, spuszczając się, na wykabłakowanym cielsku przedpotopowego Mamuta, a potem coraz wyżej w górę: obiegał jakiś mytyczny Mont-Salvat, na którym osiadł, gdyby olbrzymia wieża Babel, plugawy Graal jego opętanej miłości — splunął nań skrzepłą krwią bólu—i piał się coraz wyżej wśród odmętów olbrzymich złomów, jakie ziemia w straszliwych konwulsjach z siebie wyrzuciła i wybiegał na szczyty iglastych wieżyc Dolomitów, które, gdyby ponadobłoczne, wulkaniczne tryśce w niebo żygnęły i nagle w rozjuszonym wybuchu piekielnego ognia zastygły i skamieniały...

Pamiętał doskonale całą tą drogę. Tak mu się głęboko w duszę wraziła, że mógłby ją nieomal z zamkniętymi oczyma odbyć...

Od paru lat robił ją w śnie i na jawie, dzień w dzień — nie

znał prawie innej drogi — nie widział niczego innego prócz tych męczeńskich stacyi na swoją Golgotę: tu w tem miejscu wciągał na linie z troskliwą pieczołowitością słabszego od siebie Janusza — tu, stojąc na cypelku, który lada chwilę mógł się oberwać, podsadzał niższego od siebie Janusza, by mógł się pochwycić wystającego jakiegoś złomu — tu podawał mu swoją ciupagę, gdy Janusz obwisał na linie nad przepaścią, a skały uczepić się nie mógł — tak! tu aż do tego miejsca, w którem rozpoczynała się droga na najwyższy szczyt — jeden, jedyny szczyt, który mu teraz Szatan na dwa rozpołowił, by mógł na nim swobodnie swój czarci taniec Obłędu i Zbrodni wyskakiwać.

A może — zamyślił się głęboko — może to jego własne, szatańskie pragnienie tą turnię rozpołowiło? Może to jego zbrodnia rozłupała to, co było Jednią na dwie połowy? Może jego obłąkana zazdrość rozerwała przemocą i podstępem świętą syntezę, jaką stanowił Janusz i żona jego?!

Ha! ha! ha! zarechotał Szatan, a śmiech jego odbił się tysiącnym echem o tysiąc skał.

I tak bezustannie, wciąż i wciąż — na jawie i w śnie — wciąż od nowa w coraz to cięższym trudzie, w coraz straszliwszej męczarni, od której dusza siwieje i oczy bielmem zachodzą, odbywał tą kalwaryjną drogę aż do onego miejsca tuż pod najwyższym szczytem, gdzie stał on ruchomy kamień, a na którym był siadł niebaczny Janusz — nieszczęsny kamień, który podważony żelazną sztabą jego nogi, zatoczył się i spadł w głęboką przepaść, a Janusz, jakby nieprzewidzianie wyrzucony z szatańskiego siodła, wyleciał w powietrze, odbił się o nagą ścianę przepaścistej studni i runął na miazgę rozbity na dno, którego dojrzeć nie było można.

I tak niestrudzenie i bezpamiętnie wędrował Oksza po szczytach, turniach, iglastych wieżycach Dolomitów — prowadził Janusza za rękę, gdyby święty Anioł-Stróż, który pro-

wadzi dziecko nad urwistemi przepaściami — wiązał go na linie i wciągał pod górę i podsadzał go pieczołowicie, by mógł się Janusz chwycić jakiegoś wysterczającego skrawka skały aż po ono miejsce, gdzie stał on ruchomy kamień...

A za każdym razem, gdy wciąż od nowa tę straszną podróż odbywał, błdził dniami i nocami wzdłuż pięścią rozszałego Boga pogruchotanych, a jeszcze hardą wściekłością i zapalczywym gniewem zbrodni w górę wystrzelających skamieniałych tryśców, czołgał się w zmagających się z sobą w rozjuszonych zapasach wąwozach poprzez waziutkie zdradliwe przesmyki i kominki, ranił się do krwi na piargach spływających w dół żlebów, obtłukiwał się o wżłobienia skał, między którymi zwały się w dół rozwścieczone wodospady, aż znówu powracał na on taras w zgłiszczach stojącego hoteliku, który był się niedawno spalił — tam, gdzie mu tak dobrze było spocząć i sił do nowej, a właściwie tej samej wędrówki nabierać...

Oj nie! To nie ta sama! Teraz czekała go najcięższa droga: waziutka ścieżka naokoło jeziora aż do onej chaty, w której On-Ona mieszkali, święta Synteza, którą on swoją zbrodnią rozerwał.

Wiedział, że tą drogę odbyć musi, ale, ile razy podnosił się z ziemi, znówu opadał: nogi były jak z ołowiu, głowa zaś, jakby napęczniała olbrzymia bania chwiała się na jedną i drugą stronę, a ramiona, jak suche, zdrętwiałe patyki zgiać się nie mogły.

Ale za nim stał Janusz!

Nie! Nie stał, bo on tam stać nie mógł — on wysłał tylko za nim swoje oczy, a ból, który wwiercone w niego spojrzenie Janusza mu sprawiały, mięśnił chwiejące się kolumny jego nóg — i tak włókł się krok za krokiem w nieskończonych odstępach ku onej chacie, na której progu stała niewiasta, żona Janusza, cała w ogniu niepojętego cudu.

Góry od strony wschodu, gdzie stał ów kamień ruchomy, kamień, na którym siadł Janusz niebaczny, w ogniu stały.

Było to, jakby z niewidzialnych źródeł poza niebios krańcami lała się z poza turni, wierzchołków, grzbietów górskich, wśród których łona zbrodnia dokonana została, ciecz roztopionego złota w bezżarnym blasku stygnących słońc, ale nie strumieniami, tylko ogromnemi, płaszczyźnianemi płachtami: olbrzymia rozcień, jaką słońce w częściowem zaćmieniu na cały świat rzuca, ale rozcień, do czerwieni rozpalona, światłem dysząca, ale światłem zimnem, niejako metalicznym, a cichem, poranem tylko ciemnymi kreskami, gzygzakami głosek:

Oto zbrodniarz-bratobójca w niziny zstępuje!

A świetlista ta rozcień, poorana kreskami tych liter, zlewała się coraz niżej i niżej ku jeziorowi, przrzuciła się w bok na przylegające gór pasma, szturmowała z szaloną szybkością gwałtownego przypływu wód oceanicznych coraz szersze i dal-sze gór obszary aż po ono miejsce, gdzie Kain — zbrodniarz-bratobójca — Abła był z ruchomego kamienia w przepaść stracił...

— Kainie! Kainie! Gdzież jest brat Twój?!

Cały widnokrąg był zalany potopem cienia, który się był pożarem zajął, a w tym świetlistym cudzie widział, jak niewiasta wyprężyła się w górę, gdyby straszliwy łuk zemsty, wyzwolony z cięciwy — widział ogromne, w powietrzu latające ręce, które się nagle zacisnęły w potworne, miazdzące pięście, — pięście, jakby od całego ciała oderwane, samoistne Erynie Pomsty i Potępienia — pięście, które go potępienczą siłą na miazgę rozbijały.

— Zbrodniarzu! Bratobójco! Kainie! Świat cały rozwył się tym piekielnym krzykiem, wyciem, skowytem potwornym śmiechem tryumfującego Szatana, który lagł — Wojnę!

A zarazem otworzyła ziemia chciwie usta swoje, by przyjąć krew brata z ręki bratobójcy.

A Szatan skowyczał rzechocząc:

Słyszysz, co Pan powiedział:

„A zaiste krwi Waszej, dusz Waszych szukać będę — z ręki każdej bestyi szukać jej będę — także z ręki człowieka, z ręki każdego brata jego będę szukał duszy człowieka“.

— Zbrodniarzu! Bratobójco! wyło wokół niego — bratobójczą zbrodnią swoją Wojnę wznieciłeś i dokonaną została groźba i Pomsta Pana nad Pany!

Przywarł skruszony do ziemi...

Nagle:

Ktoś — patrzył wyteżenie — aha! znał go — znał! przecież: to nieodstępny towarzysz Janusza — przyjaciel jego i sługa — Wojtek Cylka — tak!

Wojtek, lokaj, sługa i towarzysz Janusza pochwycił go za ramiona i wrzeszczał mu nad uszami:

— Bratobójco! Wojnę wznieciłeś!

Ktoś szarpał nim z całą siłą — przemocą otworzył oczy, ale jeszcze nic nie widział.

— Panie, to już czas!

Oksza drgnął, wstrząsł się cały, popatrzył na tego, który miał rozkaz wszystkimi środkami z snu go obudzić — raz jeszcze popatrzył, bo nie zdawał sobie sprawy, czy już zdołał przekroczyć granicę, dzielącą jawę od snu:

— A to Ty... Wojtek... Jeszcze chwilę...

Był tak straszliwie znużony, że czuł, iżby się teraz dźwignąć nie mógł, przytem był świadom, że widzenie jego do końca nie dobiegło, bo ledwo przymknął oczy: nie widział nic, prócz skrawka nieba, które spoczywało w obojętnej głębokiej, fioletowej zadumie, tylko świat cały zdawał się być cały ogniem zajęty, a w tym ogniu szła niewiasta w straszliwej żałobie, by szukać na dnie przepastnych czeluści tego, którego on był niebacznie z urwiska strącił, a za nią widział jak pozew zemsty, świadka zbrodni jego: Wojtka!

Ale dziwne: ten cały palący się świat, który przed chwilą jeszcze ciskał rozjuszony fale ognia pomsty i potępienia nagle umilkł. Wycie, krzyki, skowyty stopiły się w tym ogniu, w głębokiej ciszy paliły się góry — i jezioro się teraz ogniem zajęło, bo góry w odzwierciadlaniu ogień swój w nie wlewać zaczęły.

Baczył jeszcze onej niewiasty, która w ciężkiej żałobie swego męża szukała, a nagle zrozumiał, że to nie była żadna niewiasta, tylko czarny cień, jaki zbrodnia jego na świat rzucała, a żałoba jej, żałobą nad śmiercią Abła, śmiercią Dobra i Piękna — upatrywał za Wojtkiem, który go był jeszcze przed chwilą przemocą z kamiennego snu zrywał, ale jęło mu się majaczyć, że ten Wojtek wcale nie istniał, że to tylko natrętna pamięć jego zbrodni, która mu spocząć nie dawała i wreszcie pojał ogrom swych strasznych wizyi:

— To wojna!

Chciałby to słowo na cały świat wykrzyczyć, ale tylko jakiś cichy, dławiący bełkot uwiązał mu w gardle:

— Wojna — Przekleństwo Boga, który mści śmierć Abła, śmierć Dobra i Piękna — i jako ją mścił od początku, mścić będzie pod koniec świata.

To nie Janusz, ani z bólu oszalała niewiasta, ani pomstą dyszący Wojtek — to Wojna!!

Wojna: Przekleństwo i Wyzwolenie!

Wojna: Pożar światów — unicestwienie wszystkiego, co było, wymazanie z Bytu wszystkich cnót i zbrodni, wykreślenie z Księgi Żywota wszystkiego, co istniało dotychczas...

Wojna—Wyzwolenie, w której rozszałałym pożarze wszystko się stopiło: i on kamień, tuż ponad najwyższym szczytem, a z którym razem niebaczny Janusz w przepaść się zwałił, i ona droga, którą błądziła rozpaczna niewiasta, czarny cień jego zbrodni z wiernym sługą Wojtkiem, by grób męża i pana odnaleźć i jego, obłęd własny, który kazał mu ów ka-

mieñ potracić — i wszystko, wszystko stopiło się w tym strasliwym pożarze światów, jaki Wojna wywołała.

Wstrząsnął się nagle: To przecież nie ogień — to Krew!
Wojna—Krew!

Tem lepiej, tem lepiej! śmiał się obłędnie i wołał:

— Jak długo w tym oceanie krwi pławić się będę, najstraszliwsze odmęty najstraszniejszych zbrodni na białą czyściuteńką pianę Cnoty rozbijać się będą.

Wojna—Zapomnienie, Wojna—Ogłuszenie!

I tu on przeklęty Kain jał się zмагаć z Tym, który był go przeklął:

— Otóż stało się według słów Twoich: Jestem przeklęty na ziemi, która chciwie otworzyła usta swoje, by przyjąć krew brata mego z ręki mojej!

I otworzyła swe usta ziemia i przyjmuje krew całego Twoego stworzenia, a ja zwałem kamień Żywota w głęboką przepaść, by wywołać on strasliwy pożar krwi, w którym teraz cały świat stoi, zwałem on kamień w głęboką czelusć razem z bratem moim Ablem i urągam słowom Twoim, jakoby miał być tułaczem na tej ziemi, bo jestem jej Panem i ja zbrodnią moją wzniciłem ten pożar i ja rozpocząłem niszczenie tworu całego:

Ja—Wojna! Ja—Kain!

I spojrział z tryumfującym majestatem w stronę, w której w każdej chwili, dniem i nocą czuł Janusza-Abla obecnym — ale teraz go nie widział:

— Gdzie jesteś?! wołał wyzywająco i wyskakiwał opętańczy taniec zwycięstwa i tryumfu — gdzie jesteś Ty, dla którego miałem zostać tułaczem i biegunem na ziemi — gdzie jest krew Twoja, która woła o pomstę do nieba?!

Patrz!

Rozparł się pod boki — ramię wyciągnął tam, gdzie On nowy cud wznicił:

Światło jęło gasnąć — zrazu powoli, potem coraz szybciej — gwałtowny przypływ światła również gwałtownie cofać się począł, stygł świetlisty cud, góry kirem się zaciągały, a tam, gdzie niedawno rozlewał się tajemniczy majestat bezżarnego światła, zalegały coraz mroczniejsze cienia nad ziemią, która ponoć więcej mocy swej ku niemu — Kainowi wydać nie miała.

Janusza już nie było, ani niewiasty, czarnego cienia, jaki zbrodnia jego na świat rzuciła, ani też zemstą charczącego Wojtka — bo czem było to wszystko — te upiorne majaki jakiejś dawno w krwawym ogniu Wojny stopniałej rzeczywistości wobec tego wulkanicznego wstrząśnienia jego duszy, otwarcia się na oścież ukrytych jej czeluści, wobec zapozwu przed bramę najgłębszych tajemnic życia i śmierci?!

Głęboka ciemność zwała się teraz na ziemię upiornym ciężarem, ale to było dlań obojętnem: w duszy jego było przeźrażliwie widno od tych świetlistych roztopczy, od tych płonących roztopów, którymi niedawno cały świat się żarzył, a za siebie oglądać się nie potrzebował, ani też szukać onego miejsca, kędy był zwałił ów ruchomy kamień, bo zawarł już był przymierze z Panem nad Pany, że kto wyleje krew człowieczą, przez człowieka krew jego wylaną będzie, bo na wyobrażenie Boże uczynion jest człowiek — tak powiedział Pan, z którym on, Kain, był się zmagał — i stworzył Wojnę — Pan stworzył Wojnę!

I dalej powiedział Pan:

— A zaiste krwi Waszej, dusz Waszych szukać będę, z ręki każdej bestyi szukać jej będę; także z ręki człowieczej, z ręki każdego brata jego będę szukał duszy człowieczej.

I Pan stworzył Wojnę — Wojnę stworzył Pan, aby każdy w krwi został oczyszczon z swych zbrodni i wywyższony w swych cnotach — i to on, Kain, zbrodnię swoją na Bogu wymógł.

I Bóg odwołał swe przekleństwo, jakoby miał być tułaczem

i biegunem tej ziemi, a ten, który go zabije, siedmioraką pomstę miał odnieść, albowiem przyszedł koniec wszelakiego ciała przed jego oblicze i spuścił nań Pan wojnę ku wytraceniu wszystkiego ciała, w którym jest duch żywota pod niebem: wszystko, cokolwiek jest na ziemi, pozdycha.

I takóŜ postanowił Pan przymierze między sobą, a nim, Kainem, aby ziemia, wypełniona nieprawością, z oblicza jego wytraconą została, aby grzech jego bratobójczy wojną, pożogą i zagładą umorzony został, a nikt siedmioraką śmiercią nie był winien śmierci jego.

Takie stanęło przymierze między nim a Panem, a znakiem przymierza to Wojna, a Wojna to jego, Kaina, wyzwoleniem, ponieważ Pan sam w wojnie szuka duszy człowieczej z rąk człowieka.

Rozśmiał się tryumfalnie:

GdzieŜ jesteś Ablu, gdzieeś się podział Cieniu mej zbrodni, niewiasto w żałobie nad Pięknem i Dobrem, którym ja w czelustną przepaść stracił? GdzieŜ jesteś słuŹalczy, chciwy zemsty Wojtku, natrętna pamięci mej zbrodni?!

Odetchnął głęboko w niezmiernem szczęściu wyzwolenia i jakby się w nowym żywocie był poczał: teraz wiedział, że nie śpi, że świetlisty cud wyzwolenia w nim się dokonał.

Ha, ha, ha! zarzechtotał Szatan.

Wyzwolenie! Ujrzał przed sobą czarny cień, jaki zbrodnia jego przed nim rzucała, niewiastę w ciężkiej żałobie, szukającej Abła — jęknął i przymknął oczy:

— Ha, ha, ha! teraz czas, by od nowa rozpocząć kalwaryjną, męczeńską drogę poprzez gór grzbiety nad przepaściami poprzez dzikie przełęczce do onego miejsca...

Teraz istotnie nie spał — zmiarkował, że już długo trzyma zegarek w ręku i bezmyślnie liczy minuty.

Gwizdnął nagle.

I, jakby z pod ziemi wyrósł, wyprostował się nagle przed nim ordynans jego — Wojtek.

— Chodźmy teraz, mruknął Oksza i dźwignął się z ziemi...

III.

Już dawno uszli za obóz.

Z początku bitą, dobrą drogą, potem ścieżynami przez błotnistą łąkę, przeciętą szerokim rowem.

Dostali się do małej wioski, którą zajęła jedna kompania przednich czat oddziału Ponikły. Oksza otrzymał tu kilkunastu ludzi, z których co pół kilometra pozostawiał dwóch na straży, aby przy swoich wywiadach nie stracić łączności z głównym obozem i módz go w każdej chwili zaalarmować — dotarł do następnej osady, w której ukryło się kilka plutonów doborowego żołnierza, który dniem i nocą przeszukiwał całą okolicę wokół i tu porozstawiał gęstą siecią po dwóch po trzech czatowników, wydał hasła, surowe rozkazy, dobrotliwe rady, gorące słowa zachęty, paru słowami wpoił w nich przeświadczenie niezmiernej ważności posterunku na którym stoją, a gdy już tak z pieczołowitą oględnością sobie zabezpieczył drogę pewną, na której w najszybszym czasie wieści o swoim wywiadzie do głównej kwatery mógł dawać, wyruszył na czele tych pięciu, których wziął z sobą z głównej kwatery, w mozolną niebezpieczną drogę.

Zmrok zapadał, ziemia wilgocią się pociła, ale tak już byli zmęczeni długą drogą wśród najcięższego upału, a czekała ich teraz nierówne trudniejsza droga przez głębokie moczary i torfowiska, że Oksza, chcąc nie chcąc, nakazał krótki spoczynek.

Głowa go strasznie łupała, ale na to nie zważał — przeciwnie, zdawało mu się, że jasność, jaką się góry i świat cały w śnie jego palił, przesysca go coraz więcej — przytem był

zawarł z Panem przymierze, że jakkolwiek chciał karać siedmioraką śmiercią tego, któryby go zabił, teraz mu w pożarach wojny przyrzekł, iż będzie na nim poszukiwał duszy człowieka z ręki człowieka.

To natchnęło go wielką mocą i siłą i niezłomnem postanowieniem, by być godnym przymierza z Panem zawartego.

Pięciu jego towarzyszy rozłożyło się wygodnie na stromym brzegu głębokiego rowu, na którego dnie sączyła się brudna, żółta woda. Mieli piekielną ochotę teraz po tym krwawym, znojnym dniu choć na chwilę się przespać, ale o tem mowy nie było — za chwilę posłyszają przecież głos Okszy: „w drogę chłopcy!“

Dosyć szczęścia, że mokre od potu koszule, które się w obmierzle przykry sposób do ciała kleiły, teraz się trochę osuszają, że można kryjomo zaciągnąć się papierosem, nogi od forsownego marszu pokrwawione, zanurzyć w płytkiej wodzie i świeżemi onucami owinać.

— Teraz my niezadługo na ich szpicę natrafimy — tak mi się wyraźnie zdaje, pouczał Grzela Parchaniak pokornego, ale z nieludzkiej siły w całym batalionie słynącego Kubę Górnego.

— Widzisz, u nas inaczej, jak u Moskali—u nas to tak: główna kwatera, to dłoń — forpoczta mocna w Grzechanowie, to okiść palców, plutony i podwójne straże po drodze, to kolanka palców — a my jesteśmy brzuskami tych palców — rozumiesz — psiakrew?

— A niby tak...

— No więc też, jak się ktoś dotknie tych brzuszków, to od razu przeleci to wszystko przez palce, dłoń się ściśnie, skuli się, jak nieprzymierzając ten jeź na drodze, i nic się nie stanie, bo od razu paluchy w pięść — a taki Moskal to głupi — zawsze uchłany: ściagnie but, ciśnie go daleko gdzieś w kąt, a potem chciałby, żeby but do niego sam przyszedł — ha, ha, ha —

rozśmiał się — więc widzisz durniu: ta ich forpoczta to daleko wyrzucony but, a jak my go zabierzemy, to nikt nie będzie nic wiedział, a wtedy szukaj buta! Gdzie but? Niema buta! Ha, ha, ha! Zrozumiałeś durniu? A w tym bucie i rozkazy i dyżury, ba, nawet plany rozmieszczenia wojska — czegoż Ty w tym bucie nie znajdziesz!

Kasper Kruk i Jędroch i Skowron pilnie się przysłuchiwali wywodom Grzeli, który już był służył w autryackim wojsku, a w kamieniołomach tyrolskich nawet po włosku kłać się nauczył.

— *Porca Madonna!* zaklął Grzela—jak taki but zobaczysz, to podpełznij na brzuchu i dalej za gardło, albo lepiej — obłap za nogi, pociągnij i wywał w znak — *porca Madonna!* Po nimajut? i huknął pięścią olbrzymiego Kubę w plecy, aż ten stęknął...

Ale Kuba był jakiś roztargniony, nie zauważył nawet dosadnie przyjacielskiej rady — markotno mu się zrobiło, bo zauważył, że z jego magierki przez nieostrożność wódka się wyłała.

— Pociotku! łypnął oczyma na swego towarzysza Wojtka Cyłkę — daj mi tam łyk jeden z twojej blaszanki.

Cylka milcząc podał mu flaszkę, Kuba zrobił porządną łyk, otarł gębę rękawem i spojrzał z podełba na Wojtka.

— Coś jesteś markotny — zauważył.

— Psie muchy go opadły, śmiał się Grzela Parchaniak — to panicz z pszennej maki...

— No! chłopcy — Oksza, który opodał siedział, zerwał się nagle — w drogę — nim noc zapadnie! Kazał sobie pokazać rewolwery, czy były w porządku, obejrzał ładunki, zbadał na paznogciu ostrze krótkich a szerokich puginałów, jakimi na własny koszt całą kompanię był zaopatrzył, a były ostre, jak brzytwy — zamyślił się na chwilę, a potem rzekł:

— Idziecie z własnej woli, nikt was do tego nie zmuszał —

bo nasza droga albo wprost do piekła, albo do nieba, jak któremu z nas — nadziei mało, żebyśmy żywcem wrócili: to tak, jakbyśmy bitwę wygrali.

Wystąpił nagle z szeregu Wojtek Cyłka:

— Jeśli pan porucznik pozwoli, to ja poprowadzę, ja tę okolicę znam — ja tu stąd pochodzę.

Oksza spojrzał nagle na Wojtkę — kiedy i gdzie on go już widział? I przyłapał się teraz na tem, że już od dłuższego czasu, ile razy nań spojrzał, biedził się nad tem, że to przecież jakaś znajoma twarz, a ile razy zwrócił nań oczy, zdawało mu się, że te oczy przewiercają go wskrós, że na dnie duszy jego rozgrzebują jakieś zastygłe popielisko, by coś z niego wydobyć na wierzch...

— Jakto? Tyś z tych okolic? zapytał niepewnie.

— Tu stąd o jakie dwie mile wieś Trzaski, tam byłem służącym u pana Janusza Godziemby...

Oksza uczuł zimny, przeszywający mróz wzdłuż całego ciała, skostniał, chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie, patrzył przed się niewidzącymi oczyma, bo ślepił go straszliwy pożar, w którym mu nagle cały świat stanął. Zmuszał się, by onemu człowiekowi, który do niego mówił, spojrzeć w oczy, ale wzrok jego bładził jał znowu po głębokich żlebach, wdzierać się na wysokie przełęcz, piąć się po niebotycznej szyji jakiejś girafy, osiadał na grzbiecie przedpotopowego mamuta — aż hen ku podnóża onego ostatniego szczytu, gdzie leżał ów ruchomy kamień...

On ruchomy kamień!

Przez chwilę zaległa głucha cisza.

Oksza ścierpł cały. Było to, jak gdyby był lufą karabinową, którą nieznana mu siła kierowała to na lewo, to na prawo, to wyżej, to niżej, aż wreszcie ujrzał swój cel:

Spotkały się ich oczy i tak się z sobą zwarły i sprzegły, że

zdawało się, iż to dwie pary ramion się wzajem chwyciły w zaciekleń pragnieniu: kto kogo zmoże?!

Aha! To ten sam Wojtek, sługa, przyjaciel, towarzysz Janusza, który go ongi był pochwycił za ramiona i syknął mu w oczy: Zbrodniarzu — wtedy — wtedy — gdy świat cały rozwył się jękiem niewiasty w strasznej żalobie — niewiasty, której przyniósł wieść, że mąż jej stoczył się w przepaść z ruchomego kamienia... aha! świat cały rozwył się krzykiem żalobnej niewiasty: przeklęty zbrodniarzu!

Jakiś chropowaty, głuchy, złowrogi głos przerwał nagle milczenie:

— Ja tu z tych okolic...

Oksza oprzytomniał nagle:

— Doskonale się składa — uśmiechnął się nieswojo, bo go mroźne, zimne dreszcze przelatywały i cały, jakby był ścierpl i skostniał.

— A — a — przecież to wojna — prawda! — w wojnie rozmaite wypadki zachodzą — zmiarkował nagle, że bredzi — i całkiem się opamiętał — było, jakby mgła z oczu jego opadła, a z mózgu zwała się ciężka chmura.

— Czemuś dawniej o tem nie mówił? zapytał wyniośle, i zimno i spokojnie spojrzał na Wojtkę.

— Bo mnie nikt o to nie pytał!

Jak to Wojtek powiedział? Hardo? Nie, nie — raczej pokornie.

— To ty z tych okolic — doskonale — doskonale się składa — jak się ta wieś nazywa? Trzaski? Trzaski powiedziałeś.

— Tak — Trzaski — i tam najrychlej na nieprzyjaciela natkniemy.

— A więc w drogę! Oksza już całkiem opanowany, bo uprzytomnił sobie, że Pan stworzył wojnę, aby każdy w krwi został oczyszczony z swych zbrodni i wywyższony w swych cnotach.

Szli długą chwilę w wysokiej trawie i zielsku, które im po ramiona sięgało, ale szli raźnie, bo grunt był wprawdzie miękki, ugiął się pod ich ciężarem, ale ich niósł.

Teraz weszli na torfowisko.

Z jednej i drugiej strony głębokie rowy, z których już dawno torf wydobyto, teraz wodą zalane, a między jednym i drugim wązka i niebezpieczna ścieżka, bo grunt się pod nogami obsuwał, a każdy ślad stopy w tej chwili wodą naciekał.

Szli z największą ostrożnością, bo co chwilę któryś z nich wpadał w lepką, kruchymi korzeniami pogniłych roślin zaledwie zespojoną ziemię: wyciągnął jedną nogę z moczaru, to grzązł tem głębiej tą, na której ciężar całego ciała spoczywał. A ścieżka stawiała się coraz węższą, tak, że w końcu trzeba było się na brzuchu czołgać.

Natknęli na poprzeczny rów, gęsto zielskiem zarosły.

Przystanęli.

Oksza wiedział, że Wojtek doskonale musiał być obeznany z tymi przekłętymi moczarami, że bez wielkiego trudu znalazłby jakieś obejście, jakąś inną i bezpieczniejszą drogę, ale Okszy w głowie pomieścić się nie chciało, by jego mógł Wojtek Cylka — ten sam Wojtek — prowadzić. Przecież nie z Wojtkiem, tylko z samym Panem Zastępów zawarł był przy mierze, mocą którego nikt siedmioraką śmiercią karan nie będzie za śmierć jego.

— Stój na brzegu i trzymaj mnie za rękę, rozkazał i zsunął się w rów, ale w tej chwili uczuł, że się zapada.

Wojtek zaszył się ostrożnie nogami w brzeg rowu i krzepką dłońią wyciągnął oficera.

— Tędy nie można, mruknął — to są zapadliska — tu moglibyśmy wszyscy potonąć.

Szli wzdłuż rowu i dostali się na małą oazę, gdzie już twardszy grunt pod nogami uczył.

Oksza ściągnął buty, wylał z nich czarną, gęstą wodę

wdział je z powrotem w ciężkim trudzie, alście zaledwie parę kroków naprzód zrobili, rozpoczęła się na nowo ciężka mi-tre-ga.

— Naprzód chłopcy — naprzód! wołał podniecony gorączką — ale zaledwie to powiedział, zapadł się po pas w zdradzieckiem, zielskiem porośle trzęsawisku.

Rzucili mu się na ratunek, który był nieskończenie trudny, bo sami się zapadali.

Tylko Wojtek nie tracił przytomności: z niesłychaną zręcznością i wprawą wyciągał jednego po drugim:

— Nie tędy droga, warknął, tu się potopita, jak szczeniaki.

— Prowadź! zawołał ochryple Oksza — krew mu napłynęła do oczu, bo zdawało mu się, że Wojtek szyderczo się uśmiecha — ale nie! mylił się: twarz Wojtka była spokojna i zatroskana.

Wojtek położył się na brzuchu — macał rękoma, wgniatał je w lepką ziemię, podnosił się na kolanach, wgniatał jeszcze raz kolana w moczar, a potem dopiero stawał na nogi, huśtał się chwilę i dopiero szedł dalej i znowu powtarzał ten sam manewr: wprawne jego, z tajemnicami moczarów i bagien żyte oko dostrzegło rodzaj wąskiej tamy. — Co chwilę przystawał, wydawał rozkazy, które się Okszy obelżywymi policzkami wydawały, aż wreszcie doszedł do miejsca, w którem rów już widocznie przyschnął, bo nie był głęboki, a niska trawa wskazywała, że grunt się utrwalił.

Te kilkaset metrów szli co najmniej godzinę.

— Spocząć! rozkazał Oksza.

— A to dyabli nadali! mruknął Grzela Parchaniak — ale przynajmniej ciepło — pot lał się z niego strumieniami — tu się człowiek do cna z wszystkich grzechów wypoci — *Porca Madonna!*

— Pociotku! łyk wódki, szepnął Kuba błagalnie i tracił ramieniem Wojtka. Wojtek podał mu swoją manierkę — miał

ochotę zapalić papierosa, ale w sam raz sobie przypomniał, że nie można zapalać, bo już się ściemniało.

Oksza szalał z bezsilnej wściekłości — jeszcze miał się w swej mocy, ale zupełnie nie pojmował, co się z nim dzieje. Chwytał go bezustannie jakiś szal zapamiętałej złości na tego chama, który jak najwidoczniej sobie z niego kpił. To znowu palił go hańbiący wstyd, że jest teraz już całkiem zdany na łaskę i niełaskę Wojtka — charczało w nim i skowyczało coś: Zbrodniarzu! Zbrodniarzu! To znowu jakieś kamienne przerażenie — nie! nie kamienne — ten ruchomy kamień dawno się już zwałił w najgłębsze czeluście przepaści razem z Januszem — jak on się tylko zwał? aha! Godziemba! Godziemba! — a więc nie kamienne przerażenie, tylko takie, które jakoby było elektrycznością naładowane i włosy mu na głowie jeżyło, paraliżowało mu członki, tak, że zdawało mu się, iżby teraz kroku naprzód nie mógł zrobić.

A nagle zapadł w ciężką, pokorną zadumę.

— Nie zdzierzę Panie! Zawarłem z Tobą harde przymierze — nie! nie! całkiem nie harde — przeciwnie: bardzo pokorne: uległem woli Pana! On stworzył wojnę, bo w wojnie szuka duszy człowieczej z ręki człowieka — czemużby tym człowiekiem nie mógł być Wojtek? — Wojtek! który widział swoją panią w ciężkiej żałobie i słyszał, jak krzykiem jej cały świat się rozwył: Zbrodniarzu!

Przyłasiła się do jego serca ta rozkoszna myśl, że Pan na jego duszy mógłby poszukiwać zemsty z rąk Wojtka.

— Panie poruczniku!

Oksza słyszał czyjś głos, ale już go nic nie straszyło, ani przerażało, bo w tępem pragnieniu wyzwolenia czekał na onego, który na jego duszy miał pomsty szukać.

— Panie poruczniku!

Przez grubą mgłę w ciężkich gorączkowych snach kłębią-

cego się mózgu, przedarł się wreszcie głos Wojtka do onych ciałek nerwowych, które wiecznie czuwają:

— Aha! To ty Wojtek!

Słyszał teraz dokładnie:

— Jesteśmy na dobrej drodze — natrafiłem na świeże kupy torfu — rowy nie głębokie, trzeba będzie brnąć po kolana, ale nie wyżej.

Tak! to istotnie Wojtek, którego był wysłał przed godziną na zwiady, teraz zdawał raport.

— A do Trzask daleko? zapytał nagle chciwym łękiem.

— Mila —

— A — potem?

Oksza ocknął się nagle — chciał o coś zapytać, tysiące pytań miał na języku — ale o wszystkim zapomniał — wgniół pamięć swoją w jakąś plugawą bajorę, by się z niej już wydostać nie mogła.

— Prowadź! charknął. — W drogę! Reszta żołnierzy zerwała się z ziemi.

Wojtek prowadził.

Zaledwie uszli parę staj, wleźli w wodę, widocznie świeżo z jakiegoś rowu wypuszczoną i rozlaną na małej łączce.

Grzela kłął co chwila po cichu swoje ulubione „*Porca Madonna*“, Kuba rozważał, że choć woda i poza kolana sięga, to w każdym razie ma się grunt pod nogami, a Kasper Kruk pouczał Jędrocha Srokę cichym szeptem:

— Słuchaj Jędroch: z śmiercią to jest tak: uważaj bacznie, by za tobą nie łąziła — to taka psiakrew podstępna, chyci cię z tyłu za kark — a tak taczka będzie za tobą jeździć — firut — firut — nie uciekniesz przed nią, żebyś się i pod ziemię skrył, to na nic! I uważaj, żebyś się o nią nie ocierał, bo ci tak stoi przy drodze, niby wierzba, niby Boża Męka — to się tylko zaśmieje, skubnie cię za rękaw — i już wszystko przepadło —

jedyna rada, to zważać, by ją puścić naprzód, bo widzisz skąd idzie i kędy idzie — i wtedy puszczaj śmierć naprzód!

Chciwemi, łapczywemi uszami słuchał Oksza tych wywodów. Tak! tak! Trzeba zawsze śmierć puścić naprzód — niech ona prowadzi. Był zdumiony głębokością tego spostrzeżenia, chociaż nie zdołał zrozumieć, na czym polegała jego głębokość.

A równocześnie zauważył z głębokim niepokojem, że myśli jego się płaczą, stają się dziwnie rozbieżne i w żaden sposób ich skupić nie może.

Miał wrażenie, że jest na jakimś wysokim szczycie: raz po raz tonał całkiem w oceanie grubej mgły i na jeden krok przed sobą nic nie widział — raz po raz rozrywały się na chwilę ciężkie zwały mgieł, i widział jak przez wąskie okienko, wykravek piętrzących się wokół niego gór, i znowu nic: tylko mgły. A przecież na to się wdzierał w straszliwym trudzie, by ujrzeć ten ruchomy kamień na szczycie, jak się z Januszem w przepaść stacza — a może to była właśnie ta śmierć, którą trzeba naprzód puścić, by sama prowadziła i nie mogła z nienacka z tyłu człowieka pochwycić?

— Teraz dostaniemy się na drogę, szepnął Wojtek.

Szept Wojtka w tem ciężkiem milczeniu rozświetlił grube opony mgieł.

Oksza oprzytomniał.

Dostali się istotnie na szeroką miedzę, suchą jak pieprz, choć co prawda miała, jak głęboki dywan perski.

Oksza już teraz Wojtka o nic nie pytał.

Puścił śmierć naprzód.

To już był powinien dawno zrobić.

Przecież nigdy się za niczem tak nie ubiegał, jak właśnie za tem, co było dlań najodleglejszem — by to osiągnąć, nawet przed żadną i najpotworniejszą zbrodnią nie byłby się cofnął — przecież już nawet ją był popełnił — zatrzęsł się cały: znowu

zamajaczyły mu się kontury gór, głębie przepaści, strome szczyty: zamykał gwałtownie w sobie oczy, by na to całkiem oślepnąć, ale na próżno...

W mózgu jego powstała jakaś dziwna płatanina linii, kształtów, barw, roztoczy ognia i zmierzchów — zamknął okna duszy, a oczy jego wybiegały na strome szczyty — zdawały się już być ślepe, a widział dokładnie u stóp swoich bezdenne przepaści i widział on ruchomy kamień, który się zwałił pod ciężarem Janusza, a który on był pchnął w dół — całkiem a całkiem temu przypadkowi nie winien — widział go, jak leci w przepaść — ale dziwne: nie jako jakiś ciężar — przeciwnie: gdyby jakiś glob niebieski podlegający wszelkim prawom, jakim każde ciało niebieskie podlega — i to nie! ów kamień, czy też glob dostał się w tej bezdennej przepaści na jakiś punkt, w którym się siły przyciągające nawzajem znoszą — więc widział go, jak leciał w dół i wybiegał pod górę, znowu opuszczał się w dół i z nieubłaganą pewnością znowu się podnosił, a na tym huśtającym się kamieniu, czy też globie niebieskim siedział Janusz Godziemba i patrzył bezustannie na niego w głuchem, ponurem skupieniu, a na krawędzi bezdennego leju, w którym się ten dziwny cud odbywał, leżała żałobą okryta niewiasta i wyciągała rozpacznie ręce za onym człowiekiem, który raz po raz znikał i znowu się ukazywał — a nie patrzył on człowiek na oną niewiastę w rozpacz, tylko bezustannie na niego, a każde jego spojrzenie, to szarpiący odłamek szrapnelu: cała dusza jego z tysiąca ran broczyła...

Oksza wił się z bólu: ta potworna wizja do oblędu go doprowadzała.

Zawstydził się nagle; bo to najodleglejsze, za czem tak go nił, to, co mu się zdawało spoczywać na ostatnich krańcach świata — stało mu się nagle najbliższem i najuchwytniejszym celem: Śmierć!

Dlatego puścił ją naprzód, by mógł każdy jej krok śledzić,

by nie potrzebowała być podstępna kotką, która się z nim — biedną myszą, pocącą się w śmiertelnej trwodze — mogła w chytrej igraszcze zabawiać.

I rad był i szczęśliw, że do tego stopnia wyniszczył piekielny ogień w jego duszy wszelkie zachowawcze instynkty i tak w nim doszczętnie wszelkie podstawy i pragnienia życia zburzył, że się nagle w nim cała tajemnica i piękność Wojny odsłoniła....

Tak! ujrzał ją nagle tę wielką piękność!

A tkwi ona w tej mocarnej, pogardliwej sile, z jaką człowiek śmierci bezustannie w oczy patrzy, z dumną i świętą powagą ją naprzód puszcza i na to nie zezwala, by go z nienacka opadła, i wielkiego Kaina przed tą największą zbrodnią chroni, iżby się jej mocy lękał i w tchórzliwym strachu przed nią się krył.

Bóg łaskawie, czy też w wielkim gniewie, zabijać go nie pozwolił, ale on zmógł Boga, bo Śmierć sam miał teraz w swej Mocy.

Oksza zatrzęsł się z radości. Nigdy nie zaznał jeszcze takiego rozkosznego pocucia mocy i pewności siebie, jak w tej chwili. Czuł się, jakby tysiącrotnie spotęgowanym, wyrosłym ponad miarę ludzką: nie istniało już dla niego żadne niebezpieczeństwo, nie rozumiał, że mógł kiedykolwiek odczuć jakieś znużenie, że mógłby się poddać jakiemuś wyczerpaniu — teraz on był tu wszechwładnym panem i wodzem.

I odczuwał w pobliżu Trzaski — tego mu Wojtek mówić nie potrzebował — dawną siedzibę Janusza Godziemby, który teraz daleko w alpejskiej przepaści harcuje na globie-kamieniu, który się był oberwał — Trzaski teraz ważna kwatera nieprzyjacielskiej forpocztty.

Nie mylił się: bo nagle rozlał się szeroki strumień światła: to polowy reflektor obszukiwał pobliskie moczary.

Nie trzeba było rozkazu: cała gromada leżała z zapartym oddechem na ziemi, jakby w nią wrosła.

Potop światła spoczywał czas jakiś na nich, ale widocznie musieli się wydać kupkami błota, bo światło po nich przepęzło i zwróciło się w inną stronę — a potem zgasło.

Oksza, jakby się w nowego człowieka był przedzierzgnął: był zimny, spokojny i przedziwna jasność rozpaliła się w jego mózgu: stał się jedną, nadmiernie skupioną uwagą, jednym ponad miarę ludzką wyteżonym okiem, które najgrubsze ciemności przedziera, a w lującym, majaczącym świetle jak najdokładniej każdy przedmiot rozeznaje.

Ujrzał w dali czarną masę zabudowań — to Trzaski — a w niewielkiej odległości cienie ludzkie: to podwójne posturunki, strzegące zarówno kwatery, jak i przejść, prowadzących na moczary, torfowiska i bachorza.

Szybko dał rozkazy: poszli w rozsypkę, ale tak, by związku z sobą nie tracić i na umówiony sygnał znowu w jedną gromadę się zebrać — a sam czołgał się z niezmierną ostrożnością w stronę, gdzie był przed chwilą ujrzał jakiś cień ludzki.

Teraz mignęło małe światełko: widocznie patrol mimo surowego rozkazu, papierosa zapalił — podciągając się jednym długim ruchem, jak pływak w wodzie, przeciągnął się o całą długość swego ciała.

Powtórzył raz, drugi i trzeci i dziesiąty ten sam ruch i podpełzł już tak blisko swej ofiary, że żołdak nagle niespokojnie się obrócił w stronę, z której jakoby jakiś szmer pochwyił, nadsłuchiwał chwilę i wpatrywał się bacznie w ciemną przestrzeń, sięgnął do kieszeni, widocznie by wyciągnąć elektryczną latarkę, i z tej właśnie chwili skorzystał Oksza, zerwał się nagle z ziemi, kilku ogromnymi susami dopadł żołnierza, wywalił go w znak, chwycił za gardło, ale ogromne chłopisko poczęło się rozpaczliwie bronić.

I tak się w cichości szamotali ze sobą, bo Oksza zdążył

zapchać żołdakowi jamę ustną lepkiem błotem, tarzali się po ziemi — już się Oksza wydostał na wierzch, już zaczął kolanami wgniatać się w brzuch wroga, coraz głębiej zapuszczał szpony swych stalowych, wązkich palców w gardło tamtego, gdy tenże w nagłym skurczu wygiął się w pałąk, zrzucił Okszę z siebie, wgniótł go w ziemię ogromnym ciężarem swego cielska, a nagle posłyszał Oksza zdławione przekleństwo: strumień krwi obluzgał mu twarz i w tej chwili uczuł się wolnym.

Widział niejasno, jak Wojtek pochylony nad żołnierzem wyciągał z jego karku nóż i obcierał go mundurem z krwi.

— Nic się panu nie stało? pytał Wojtek obojętnie.

Oksza zawrzał wściekłym gniewem.

— Czym cię wołał na pomoc?

— Pan nie! wycedził Wojtek, ale świętej pamięci pan Janusz ostrzegł mnie, że panu grozi niebezpieczeństwo.

Okszę ciarki przeszły, chciał coś powiedzieć, rzucić się na Wojtkę, ale w tej chwili obejrzała się za nim Śmierć, którą był naprzód puścił, więc milczał i baczył tylko najpilniej, by jej z oczu nie stracić.

Jedno mu tylko do żywego dojmowało: zdawało mu się, że ciągle słyszy jakiś głuchy, podziemny, szyderczy śmiech wokół siebie — obejrzał się — ale widocznie całe powietrze śmiało się tem stłumionem szyderstwem, bo słyszał je z wszystkich stron.

To Janusz się śmieje! pomyślał rozpacznie i w tej samej chwili posłyszał niewyraźny szelest, jakby ktoś w pobliżu na suchą gałąź nadeptał, i równocześnie wyłoniła się niewyraźna masa, jakby się ciemność w tem miejscu jeszcze więcej zgęściła.

Jak opętany rzucił się Oksza w tę stronę — błyskawicznym ruchem wyciągnął rewolwer:

Żołnierz oszołomiony, zgłupiały rzucił karabin, ale jakby się nagle opamiętał, zrobił nagły ruch — przeczuł go już jed-

nak Oksza w nadmiernej jasności swego mózgu, bo z całej siły, jak piorunem grzmotnął go stalową rękojeścią ciężkiego rewolweru między oczy — bo ta sama nadmierna jasność nie pozwalała mu strzelać, by nie wszcząć alarmu.

Chłop się zatoczył, podniósł odruchem ramię do oczu, a nagle jak ścięty runął na ziemię.

To Wojtek znowu z tyłu go powalił i z zdumiewającą zręcznością usta mu zakneblował.

— Co z nim zrobić?! szepnął.

— Rzuć go w przepaść! syknął Oksza.

— Niema ruchomego kamienia w pobliżu! — znowu posłyszal Oksza ten sam szatański zgrzyt szyderczego śmiechu.

Teraz czuł dokładnie, że każdy włos na jego głowie jeży się z przerażenia, ale nie miał czasu mu się poddawać, bo śmierć, którą puścił naprzód, wyczekiwała niecierpliwie.

— Co z nim zrobić? powtórzył Wojtek, ale tym razem wyczuł Oksza, jakby wzgardliwą niecierpliwość, szyderski zgrzyt w głosie Wojtka, ale nic nie odpowiedział, uczuł tylko wstręt i obrzydzenie, jakby mu ktoś przemocą splugawiony gałgan wtlaczał do gardła.

— Skończ już raz! zaświszczał mu własny głos w uszach.

— Już się załatwiłem — zaśmiał się Wojtek i schował okrwawiony nóż za cholewę — tu niema ani przepaści, ani ruchomego kamienia, a nieboszczyk pan Janusz kazał mi dzisiaj we śnie was strzedz, jak własnego oka.

I zdawało się Okszy, że teraz całe piekło zarzechotało straszliwym, plugawym śmiechem, ale zaraz ochłonał, bo posłyszal głos derkacza: to sygnał Grzeli, a potem różnego ptactwa wodnego, to sygnały reszty towarzyszy — a na wszystkie odpowiedział.

Zdumiewające, że tak doskonale głosy ptactwa rozmaitego naśladuje — i był głęboko uradowany, że się tak wszystko pięknie składa i wszyscy się odnaleźli.

— Na takiej piekielnie niebezpiecznej wyprawie jeńców się nie robi — tłómaczył się z cicha Grzela — ta! nie szkodzi, boć i łotrom obiecany jest raj — *porca Madonna* — zaklął i splunął.

— Z śmiercią jest tak — pouczał Kruk — dla siebie trzeba ją naprzód puścić, a dla innych w tyle zostawić.

— Tak jest! przytakiwał Jędroch Sroka — by one kruki i wrony też jakowyś żer miały.

Tylko Kuba Górny był markotny, jako że mu w gardle wyszło, ale ponieważ o mało co nie przewalił się o olbrzymie cielsko żołnierza, którego Wojtek, dziobnąwszy go ostrzem noża, do wieczności przeniósł — namacał przy tej sposobności na wiele obiecującą manierkę, więc wraz poweselał.

— Tu w bok! szepnął Wojtek — Trzaski tuż — tuż — obejździemy dookoła między stodołą a stajnią wazki rów — tamtędy się wkradniemy w podwórze i będzie wesele.

— Naprzód chłopcy! Duszę Okszy przepełniała jakaś buńczuczna harda i junacka siła, jakimś wielkiem weselem rozśpiewana buta, bo otoc podał Pan pod moc jego nieprzyjacioły, aby je z tej ziemi zgładził, i jako wstrętne robactwo wyniszczył.

Szli pijani zapachem świeżej krwi człowieczej, obładowani rewolwerami i amunicją zabitych patroli, szli szybko, ale z największą ostrożnością, a tak byli rozbawieni, jak stado psotnych uczniów, którzy pragną tylko jakiś figiel spletać, a żadnej, ale to żadnej powagi, ani trwogi w nich nie było, tylko ogromne pragnienie użycia, ale już nie chytrze i z nienacka, tylko szeroko, zamasyście: taki sobie krwawy taniec na sklepisku widnej stodoły...

Już majaczyły w przeczuć dającym się brzasku zabudowania dworskie.

Przed nim długi wyciągnięty mur.

— To gumna! szepnął Wojtek.

I zaraz przypomniał sobie Oksza, co już niedawno był wi-

dział, że ziemia swe usta otworzyła i przyjmuje krew całego stworzenia, że on to zwał kamień żywota w głęboką przepaść — że nie jest już tułaczem na tej ziemi — wodzem jest, któremu dano wszcząć niszczenie tworu całego:

On Kain—Wojna! Kain—Wódz!

Spojrzał groźnie na Wojtkę:

— Kto tu dowodzi? ty czy ja?

— Pan Janusz! świętej pamięci pan Janusz! odparł hardo Wojtek.

I już miał się Oksza w dzikiej, bezpamiętnej wściekłości rzucić na Wojtkę, zgnieść, zdusić tę krtań, przez którą te sromotne słowa przedostać się mogły, ale ujrzał znowu niecierpliwie wychekująca Śmierć: dość już jej było tego czekania na tego, który ją tak hardo puścił naprzód.

— Ty pójdziesz z Sroką i Krukiem tym rowem między dwoma zabudowaniami — ja z Kubą i Grzelą przez bramę — rozumiesz?

Wreszcie zatryumfował nad Wojtkiem, zmusił posłuchać go jego rozkazu...

— Posłyszysz wystrzał, wpadniesz na podwórzec!

Rozstali się, jako był Oksza przykazał.

Upiorny ciężar spadł mu z serca: teraz przynajmniej na chwilę pozbył się Wojtkę. Chciał go się wprowadzić jeszcze zapytać, czy żona Janusza bytuje jeszcze w tym dworze, ale to już całkiem niepotrzebne pytanie — bo jeżeli Tego nie było, za którego śmierć miał zostać tułaczem na tej ziemi, a przeciwnie został wodzem i płonąca żagwią Wojny, to już wszystko obojętne.

Rozparł się zwycięzki i znowu gorącym światłem nieznana jasność buchnęła w jego mózgu.

— Na ziemi! bramy będzie pewno straż strzegła — szepnął cicho — rewolwerem bez pardonu!

Pełzli chwilę.

Przy bramie stało dwóch żołdatów.

Chwila zapartego oddechu — a nagle jednym skokiem rzucił się Oksza gołemi rękoma na najbliższego — zaczęł tenże oprzytomnieć zdołał, już widział przed sobą lufę rewolweru:

— Otwórz natychmiast bramę!

Chłop, jak spiorunowany, wyciągnął klucz.

— Bóg i dla łotrów miłosierny, stęknął Grzela i wyciągnął nóż z karku drugiego żołdata, który rżąc i krwią żygając, zwał się na ziemię.

— *Porca Madonna!* Żem też rzeźnikiem nie zostałem! splunął.

Chłop, mający otworzyć bramę zawahał się chwilę. —

Rozległ się strzał — chłopisko runęło.

— A widzisz, pomyślał Oksza — trzeba ci tego było?

Górny z Grzelą otworzyli, a raczej wywalili bramę.

Na szerokiem podwórzu spoczywało kilkunastu żołnierzy — a ponieważ mieli być gotowi rano do wymarszu, więc leżeli naokoło nawpół już zagasłego ogniska, które wieczorem podczas zajęcia Trzask rozpalili.

Na odgłos wystrzału kilku z nich się zerwało — powstał popłoch i zamieszanie — w tej samej chwili wpadł z jednej strony przez bramę Oksza z Górnym i Grzelą — z drugiej z tyłu poprzez rów, prowadzący popod stajnię, Wojtek z Krukiem i Sroką — posypały się strzały — żołnierze zaczęli się rozbiegać, szukając kryjówek, z dworu wybiegł nawpół ubrany oficer z rewolwerem w ręku, dał kilka głośnych rozkazów, kilku żołnierzy podbiegło ku niemu a równocześnie posypał się z obór i stajen grad kul ukrytych tam żołdaków.

Okszy na chwilę pociemniało w oczach — a nagle z rozjuszoną wściekłością wyrwał szablę, rzucił się na oficera, otoczonego garścią żołnierzy — kule świstały wokół niego, ale żadna się Kaina-tułacza na ziemi nie miała. — Widział, jak jakiś żołnierz w obronie oficera nadstawił bagnet, ciał go daleko wyciągniętem ramieniem, inny nie zdążył wymierzyć,

a już leżał z rozpiętą czaszką — już się skrzyżowała jego szabla z szablą dziwnie krępkiego oficera, rozpoczęła się zaciekła walka, Oksza poczuł, że krew mu po twarzy ścieka, zawrzało w nim: jedno gwałtowne cięcie, a szabla oficera, wytrącona z ręki, wyprysła w górę, jeszcze jedno gwałtowniejsze cięcie: oficer się zachwiał, krew strumieniem buchnęła z rozpiętej piersi — wyciągnął ramiona w górę i padł na wznak.

Ale Oksza nie troszczył się już o niego — ujrzał uciekającego żołdaka, puścił się za nim, kule świstały wokół niego, na nic nie zważał, dopadł go wreszcie, nie zważał na błagalnie wyciągnięte ramiona: nie było w nim ani litości, ani pardonu, bo był przez Pana pomazany, by niósł zagładę i zniszczenie.

Nagle opamiętał się: śmierć, którą puścił naprzód, znikła mu nagle z oczu — widział natomiast kilka trupów rozciągniętych na ziemi — a między nimi ujrzał Wojtkę. — Chwilę popatrzył skamieniały — odetchnął głęboko, czuł, jakby się jakiś straszny ciężar z jego duszy uwalniał i staczał w jakąś przepaść, ale nic nie wiedział, co by to było — podszedł bliżej, patrzył w szeroko rozwarte, bielmem zasłte oczy Wojtki i niejako się od nich oderwać nie mógł — bo te oczy wydały mu się nagle czelustną przepaścią, taką samiuteńką, w jaką się ów ruchomy kamień był zwałił i znowu ujrzał potworną wizję: ów kamień — glob niebieski, który wznosił się w górę i znowu opadał w dół — i znowu się ukazywał — a na tym huśtającym się kamieniu, czy globie siedział Janusz Godziemba i patrzył nań bezustannie z jakimś strasliwym, złowrogim wyrzutem.

To nie ja! To On! krzyknął nagle przeraźliwym głosem oszalałej radości.

Bo na tym globie nie siedział Janusz — nie! gdzież tam: to był jakiś potworny, chimeryczny symbol całej ludzkości, rozszarpującej się w rozjuszonym obłędzie w kawały, wijącej się w strasliwych konwulsjach bólu, gniewu i zawiści.

To nie on, Oksza, stracił ten ruchomy kamień — moc jego nie równała się tej, która zdołała glob niebieski strącić w tę piekielną otchłań — tylko On jeden, On, którego imienia ani ogarnąć, ani nawet wymówić nie wolno, zdołał to zrobić — zdołał strącić w przepastne odmęty on ruchomy kamień — glob ziemski.

Głębiej jeszcze odetchnął i poczuł większe jeszcze wyzwolenie a zarazem wstyd i upokorzenie:

Jak śmiał sobie w zuchwałej pysze przypisywać tę moc, by mógł kamień ów ruszyć i wtrącić go w przepaść — on robak — on proch marny — on niedołężny atom, który teraz gdzieś w odmętach czeluści wiruje! Jak mógł się ośmielić, próbować wiać na swe barki krzyż zbrodni i grzechów całej ludzkości i chcieć się Bogu równać!

I bił się pokornie w piersi:

— Wybacz mi, Ty Niepojęty, Ty Nieogarniony, Ty Niewysłowiony, żem poczuwał się do ogromu zbrodni ponad miarę ludzkiej mocy, aby stać się uczestnikiem onej boskiej mocy, która globy ziemskie z ich niezmiennych torów w przepaść wrzucać i nimi, gdyby piłkami igrać może!

Dawno już ucichł zgiełk i zamęt i gniew krótkiej a rozjużzonej walki.

Ktoś do niego przemawiał i obejmował go, bo już miało się ku wieczorowi — tak mu po głowie chodziło — a syn człowieka był śmiertelnie znużony i broczył krwią z kilku ciężkich ran.

— *Porca Madonna!* Aha! to Grzela... oprzytomniał — teraz już oczy Wojska, które gdyby chciwe wędki o duszę jego się zahaczyły, puściły go na wolność — teraz był wyzwolony...

— A to psie krwie pana poharatali! słyszał to dokładnie jakby głos ludzki — i najwidoczniej Grzeli — ale coś, jakby z innego świata...

Ciężkimi chmurami zaciągnięte niebo świadomości Okszy zwolna na chwilę przecierać się jęło.

Przynajmniej miał teraz jakieś oparcie — Grzela z Górnym podciągnęli go pod stodołę i złożyli na snopku żyta:

— Wyżej!

Podłożyli mu pod głowę jeszcze jeden snopek....

W Okszy rozegrał się ostatnimi odruchami — wódz...

Ale ponieważ trudno mu było głosu dobyć, więc mówił oczyma.

Grzela wszystko rozumiał.

— Sroka poleciał do najbliższego posterunku — Wojtek, Kruk zabici — psiarstwo, co nie wyginęło, to tam spętane leży.

Oksza powiódł oczyma: w pobliżu leżało kilku skrępowanych żołdatów, ale to już mu całkiem było obojętne, bo widział, jak śmierć, którą był przed chwilą z oczu stracił przykucnęła cicho opodał niego, ale już cierpliwa, spokojnie czekająca.

I uradował się w sercu swoim, albowiem wiedział, że śmierć jego przez Pana siedmiokroć razy pomszczoną zostanie.

Przymknął oczy i jał na nowo wędrować po szczytach, turniach iglastych, aż do onego miejsca, z którego nad czelustną przepaścią on ruchomy kamień się zakolysał i wraz z Januszem w głębie się stoczył.

Siedział na krawędzi przepaści w przedśmiertnym lęku, bacząc, czy ów kamień się nie pokaże z Januszem, siedzącym na nim, jak to już był przywykł go widzieć

Nic!

Jeno głucha, ciemna przepaść pod nim.

Jeno znowu nagle od strony wschodu, gdzie stał ów kamień, góry w ogniu stanęły.

I było to znowu, jakby z niewidzialnych źródeł lała się z poza turni, wierzchołków, grzbietów górskich, wśród których

ponoć kiedyś zbrodnia dokonana została — ciecza roztopionego złota w bezząrnym blasku stygnących słońc: cały świat wokół zdawał się być tym bezząrnym ogniem zajęty, a w tym blasku szła blada niewiasta w strasznej żałobie, by szukać na dnie przepastnych czeluści tego, którego on był niebacznie z urwiska strącił.

I nie widząc się, czekali razem, rychło li się ten kamień w przepastnej studni pokaże.

A świat się palił i jał ciskać rozjuszony fale ognia zemsty i potępienia, a wycie, potępieńczy skowyt, straszliwy ryk, jakby się cała ziemia na kawały rozrywała, mózg mu rozpierał i rozumiał, że to Wojna! Wojna-Zapomnienie! Wojna-Wyzwolenie! Oszłołomienie!

Czem Janusz — czem on — czem z bólu obłąkana niewiasta — czem trupy naokoło?! — otworzył nagle oczy:

Stało się coś niepojętego!

Wyprężył się ostatkiem sił i dźwignął, bo zdawało mu się, że Bóg szeptał mu do ucha: Wstań, a będziesz z trądu twego oczyszczony! — ale cud się nie spełnił — ruszyć się nie mógł, widział tylko — nie oczyma — ale całym ogromem konającej duszy widział, jak opodał z bólu obłąkana, blada niewiasta w strasznej żałobie przykucnęła nad trupem Wojtka i delikatnymi palcami zamykała powieki nad szeroko rozwartymi oczyma trupa, nad oczyma z których, choć martwe, krzyczał pozew zaciętej zemsty, boć przecież Wojtek jeden był świadkiem jego zbrodni.

Ale oczy Wojtka zawrzeć się nie chciały.

Wtedy pochyliła się nad onemi strasznymi żrenicami i pocałowała je ona żałobna niewiasta, a oczy Wojtka jeszcze raz się szerzej rozwarły a potem się cicho zamknęły.

Niewiasta, bólem żałobna, dźwignęła się ciężko z ziemi, patrzyła chwilę, czy one martwe oczy raz jeszcze się nie roze-wrą — a potem zwolna odchodzić jęła.

I teraz wyrwał się straszliwy krzyk z piersi Okszy:

— To nie ja! To On! To On! Odwróć się ku mnie!

Ale napróżno ramiona wyciągał — napróżno wyrzucił wraz z krwią straszny krzyk:

— Odwróć się ku mnie! Niewiasta nie zwróciła ku niemu żałobnej twarzy — odeszła.

I nie danem mu było wstać i z trądu swego się oczyścić. I widział tylko, że ziemia swe usta otworzyła i wchłaniała krew wszelakiego stworzenia — a światło—krew jęło z wolna gasnąć, zrazu powoli — potem coraz szybciej — gwałtowny przypływ krwi-ognia cofać się począł, biegł, uciekał — a Janusza już nie było, ani żałobnej niewiasty, ani zemstą dyszącego Wojtka — wszystko zgasło i zamilkło wobec zapozwu, który go powołał przed bramę najgłębszej Tajemnicy.

A nie danem mu było wstać i z trądu swego się oczyścić.

— Zwróć się ku mnie! jęknął ostatnim tchem.

Ale niewiasta w ciężkiej żałobie, ta, która pocałunkiem swych ust powieki Wojtka zamknęła, już była odeszła z przed jego oczu i nie obejrzała się — legł cicho, bo wiedział: śmierć jego — Kaina — przez Pana pomszczoną zostanie nie tylko siedmiorako, ale po koniec świata mordem, pożogą, zniszczeniem, zarazą — Wojną!

Głęboka ciemność zwała się upiornym ciężarem na jego duszę....

